



zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

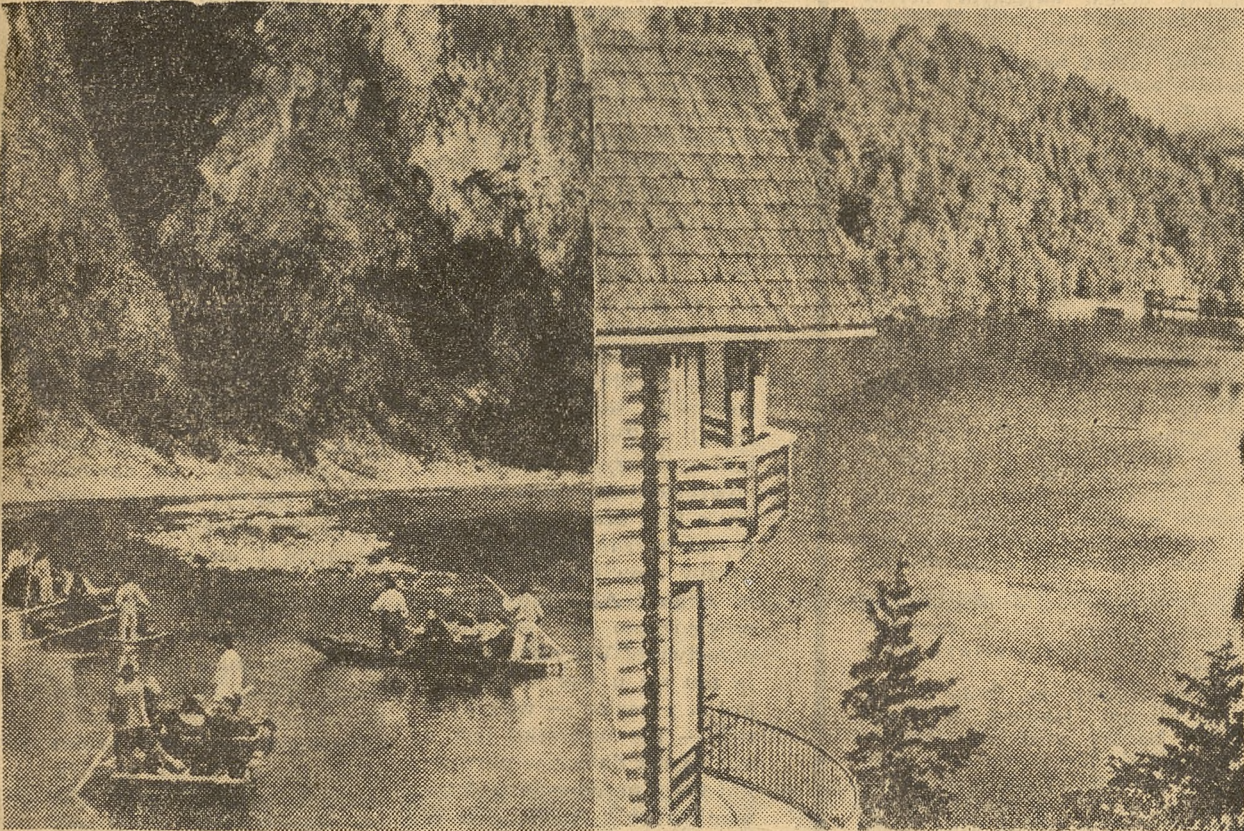
KRAKÓW

23. VI. 1957 r.

Nr 7

CENA Zł 1.50

W PIENINACH



W SUDETACH

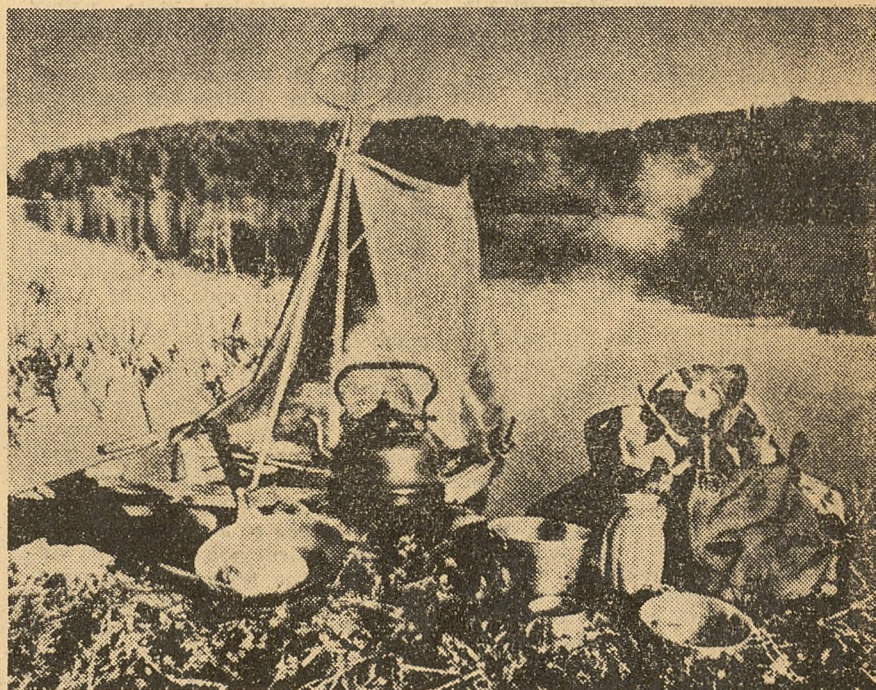
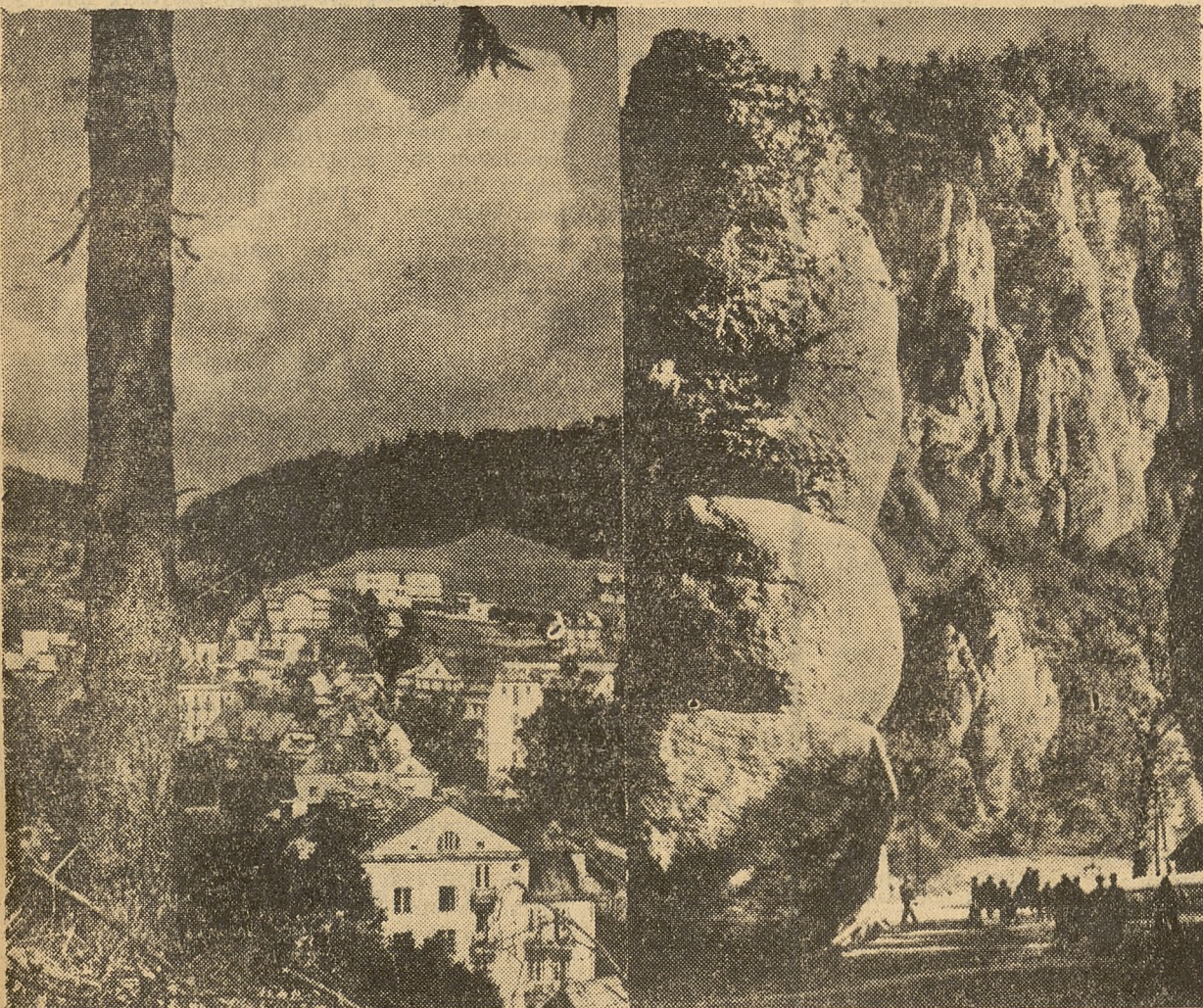
NAD BAŁTYKIEM



WYCZEKUJECIE CAŁYMI DNIAМИ W KOLEJKACH PRZED „ORBISEM“, ABY ZA DROGIE PIENIĄDZE OTRZYMAĆ KILKUDNIOWY POBYT — W NIE ZA WSZE ATRAKCYJNEJ MIEJSCOWOŚCI — BYLE ZAGRANICZNEJ. A PRZECIEŻ ZNACZNIE TANIEJ KALKULUJE SIĘ DŁUŻSZY POBYT W UZDROWISKU KRAJOWYM. NA PEWNO WIĘKSZOŚĆ Z WAS NIE ZNA WSZYSTKICH PRZEPIĘKNYCH MIEJSCOWOŚCI POLSKI. RADZIMY WIĘC SPĘDZIĆ WAKACJE:

Zdjęcia z książki „Piękno Polski Ludowej”

W TATRACH



W KRYNICY

W OJCOWIE KOŁO KRAKOWA

NA JEZIORACH MAZURSKICH

Felieton SOMNAMBULICZNY



W ciągu ubiegłej zimy uległy zniszczeniu materiały ceramiczne na sumę 80 milionów złotych — z powodu „niedopatrzienia” w Ministerstwie Budownictwa. Na sumę nieco mniejszą — bo tylko na 50 milionów złotych — rozkradziono materiałów budowlanych w Warszawie.

Fachowcy od eksportu jaj tak umiejętnie manewrowali handlowymi operacjami, że straciliśmy na tym około miliona dolarów.

Takie wiadomości czyta się w gazetach już nawet z pewną flegmą. Okres, w którym czytelnikowi pism groziła apopleksja od lektury wstrząsających rewelacji o stanie naszej gospodarki, dawno już minął. Już tylko z rzadka serce podskoczy, groząc palpitacjami. Przydarzyło mi się to przy czytaniu odpowiedzi na ankietę „Przeglądu Kulturalnego” „Co będzie za 10 lat?”. Wybitny ekonomista odpowiedział w sprawie budownictwa mieszkaniowego: jeżeli będziemy się niesłychanie wysilali, jeśli wszystkie rezerwy zostaną zmobilizowane, a wszystkie plany wypełnione, to w najlepszym razie osiągniemy w dziedzinie mieszkaniowej w roku 1967 stan z roku 1950, to znaczy około 1,6 osób na jedną izbę mieszkalną. To jest optymistyczny obraz i szczyt naszych na tym polu możliwości.

Bez komentarza.

Potem znów idą, idą wieści z „frontu spekulacyjnego” — rozważania na temat kar, które należy stosować i środków, które należy przedsięwziąć, aby udaremnić spekulantom ich proceder. Najlepszym, piszą, byłaby policja gospodarcza. Ma się rozumieć, że policja taka musi być bardzo dobrze płatna, aby stała się odporna na próby przekupstwa. Doskonale. Tylko, że posada w takiej bardzo dobrze płatnej policji gospodarczej — to będzie niecodzienna gratka, kąsek niesłychanie łakomy. W jaki sposób najłatwiej jest dostać atrakcyjną posadę, wkroczyć się na etak? Przy pomocy łapówki rzecz oczywista. A zatem, już w pierwszej fazie rekrutowania owej policji, która będzie miała wyłeczyć gospodarkę z choroby łapówkowej... Zresztą, ile może wynosić taka uodporniająca na pokusy pensja? Tyle, wiele dostaje wybitny architekt? Profesor uniwersytetu? 4.000 złotych? Może aż 5 tysięcy? To chyba fikcja. A niejedna firma prywatna rozpoczyna prosperowanie od ułożenia sobie budżetu, w którym na „smarowanie” przewidziane są setki tysięcy.

Z jednego absolutu wpadamy w drugi: najpierw miało się działać

przez „gołe” apelowanie do świadomości — teraz mają znów decydować „gołe” bodźce ekonomiczne. Ale wiemy, łączące ekonomikę z moralnością, są skomplikowane, mocno gordyjskie — ba, żeby to wystarczyło powiedzieć „od jutra kochani rodacy już będziemy wszyscy uczciwi”. Takie hasła, rozważkowe w artykuły, spotyka się nawet w prasie. Pocziwa to, święta działalność. O, sancta simplicitas! Nie, żebym wątpił w efektywność podobnych odzew: moje zwątpienie zaczyna się dużo wcześniej — bo nikt z tych, do których są kierowane, nie czyta pism literackich ani społecznych tygodników.

Mylę się? Oby...

Przypomina mi się stara anegdota o małomiasteczkowych Żydach, którzy (było to bardzo dawno) zapragnęli uczcić świetnym darem swego duszpasterza-rabina. Uchwalili tedy, rada w radę, tak: przed domostwem rabina ustawi się wielką, uczciwie wyszorowaną beczkę. Każdy religijny członek gminy (a innych nie było) przyniesie w nocy szklance wino i wleje ją do beczki. Jemu nie ubędzie, a rano będzie miał rabin całą beczkę pełną wina! Jak postanowili, tak zrobili. Alłści przysłał jednemu z hojnych ofiarodawców taką myśl do głowy: Jeżeli ja jeden przyniosę, zamiast wino, szklance wody, to ono nie na tym nie traci. Pomyśleć — jedna szklanka, a tu cała beczka win! Rano wyszedł rabin pograć się na słoneczku — i wielce się zdziwił. Przed progiem stała beczka, pełna wody...

W samej rzeczy, jeśli jeden obywatel sporego kraju postanowi po cichu pofolgować w pracy, nie się stać nie powinno. Dobro ogólne nie poniesie przecież żadnego uszczerbku, jeśli on jeden jedyny, zamiast uczciwie pracować, będzie się zajmował czymś innym.

Jeżeli jednak wielu wpadnie na ten prosty pomysł? Strach pomyśleć. A jak im go wybić z głowy? Perswazja?

Miałem dziwny sen. Śniło mi się, że idę ulicami jakiegoś wielkiego miasta, bardzo zmęczony dźwiganiem walizki. Nie pamiętałem, skąd się tam wziąłem, ani co robię. Zobaczyłem na skwerze ławkę i postanowiłem usiąść. Rozpadła się, ledwo jej dotknąłem. Poszedłem dalej; wielką, piękną posesję okalał niski murek. Postawiłem na nim walizkę. W jednej chwili mur rozspadł się. Chciałem podnieść walizkę — ręczka została mi w ręku. Zrozpaczony, śladem na jezdni i poczułem, że jej kamienie chyboczą się, rozstępują, i wpadam w jakąś czeluść. W ostatniej chwili porwał mnie za kark jakiś olbrzym, ciemny, otulony peleryną.

— Nie trap się — powiedział. — Rozumiem twój stan. Jest wywołany anormalnym wydarzeniem w waszym życiu. Obarcza was ono troskami, zgrzyotami, dezorganizuje wasze dzieła i myśli. Mam na myśli niepodległość. Normalnym waszym stanem jest znajdować się pod okupacją lub rozbiorem. W tym mroku, podczas takiej nocy narodowej, wszystkie wasze cechy poczynają lśnić jak szczerze złoto. Wasi spekulanci zmieniają się w bohaterów, przemycających wsi do miast słone i mięso. W ten sposób walczą skutecznie z wrogiem i ratują życie bliźnich. Wasi handlowcy robią interesy, okradając i oszukując ciemniycieli, przez co wchodzi do panteonu mężów opatrnościowych. Wasi chuligani, zabijaki i łobuzy wstępują do podziemnych organizacji, idą do lasu, tworzą partie i z ukrycia szeregają szeregi okupanta. Wasi pracownicy przewlekają każdą robotę, pracując tak leniwo, tak powoli, tak źle, że okrutny tyran widzi się wnet na brzegu przepaści. Wasi dyktanci, wasi kombinatorzy, wasi intelektualiści i gaduły przemieniają się we wieszczów i mężów stanu na emigracji, i z dala od znękanego narodu zagrzewają go do oporu, wylewając w zamorskich krajach łzy nad losem drogiej rodaków. Z myślą o tych, co jęczą w jarzmie, opracowują manifesty, poematy epickie, dumy, epopeje narodowe i programy odnowy. Ponieważ ich więź z krajem jest, za sprawą przebrzydłego okupanta, bardzo niska, prawie żadna, więc błędy ich koncepcji nie mogą wywrzeć ujemnego wpływu na los żyjących w kraju. Kiedy się tak wszystko układa, opanowuje was duch jedności i zgody, wypełnieni ściskającymi hasłami i ideałami, kochacie się nawzajem, marzycie o wolności, przelewacie za nią krew i słynąć poczynacie na całym świecie jako romantyczni bohaterowie. Przestań narzekać, a powiem ci, czego wam potrzeba, żebyście —

— Kim jesteś, potworze! — zawołałem z największym gniewem. — Jak śmiesz mówić mi takie rzeczy! Obrażasz mnie, obrażasz nas —

Uśmiechnął się, a ja, nie posiadając się z oburzenia, zamachnąłem się do ciosu — i obudziłem. Miewa się czasem takie głupie sny.

ZDERZENIA

CZY TO JEST UCZCIWE?

„Już w czasie mojej pierwszej wizyty w Związku Radzieckim (od której jesienią upłynęły cztery lata) zauważyłem między atmosferą, jaką tam zastałem, a atmosferą opisaną rok przedtem przez Michel Gordy'a tę samą różnicę, jaką dostrzec można między opisem podróży a powieścią sensacyjno-kryminalną. Ale rozmowy, jakie wtedy prowadziłem, cechowała ostrożność, konformizm. W dwa lata później języki rozwiązały się już na tyle, że pewien znakomity pisarz mógł mnie publicznie zapytać o to, czy jeden z moich kolegów, również znany, jest istotnie uczciwy; jak mógł bowiem, po obejrzeniu z całą swobodą wszystkiego, co chciałem w Związku Radzieckim zobaczyć, napisać po powrocie tego rodzaju rzeczy o tym kraju... „Jako — spytałem zaniepokojony — czyżby mówił o nim aż tyle złego?” Ależ nie — odpowiedziano mi — wręcz przeciwnie! Wszystko wydaje mi się u nas w porządku! A przecież — wykrzyknął — nie wszystko jest u nas aż tak dalece w porządku! Czyż uczciwie jest ukrywanie tego?” (VERCORS W „LE MONDE”)

DZIWNY KRAJ...

„Naród o 28-milionowej ludności posiadający jedynie 150 tys. pojazdów mechanicznych, zbyt biedny, aby obywatel mógł sobie kupić jedno ubranie w ciągu pięciu lat, ale przygotowujący posiłki na maśle. Kraj, w którym pijaństwo jest tak rozpowszechnione, że sklepy z wódką zamykane są w dniach wypłaty po to, aby chociaż pewna część zarobków wydatkowana została na utrzymanie.” (UNITED PRESS — O POLSCE)

PUSTA ETAŻERKA?

„Zgodnie z opublikowanymi ostatnio wynikami badań, przeprowadzonych przez Amerykański Instytut Badania Opinii Publicznej, 61 proc. osób, do których Instytut ten zwrócił się z pytaniami, nie przeczytało w ciągu ostatniego roku ani jednej książki.

Dla porównania podam wyniki badań przeprowadzonych dwa lata temu w krajach, w których ludność mówi po angielsku. W Anglii czyta książki 55 proc. ludności, w Australii — 34 proc., w Kanadzie — 31 proc., w Stanach Zjednoczonych — 17 proc.

Powinniśmy zdawać sobie sprawę, w jakim kierunku zmierzamy i jak szybkie są nasze postępy. Należy stwierdzić, że kierunek, w którym zmierzamy, nie jest całkowicie właściwy. Trzeba również, byśmy sobie uświadomili, iż jeśli każdy Amerykanin włoży do swego garnka dwa

kurczaki i umieści w swym garażu dwa samochody, a nie położy na swej etażerze ani jednej książki, to nasz poziom życiowy nie będzie taki, jak być powinien”.

(GAZETTE AND DAILY).

REGENERACJA

„Nadzwyczajna zdolność niemieckiego przemysłu do pokonywania fizycznego zniszczenia i politycznych kar wykazana została w dorocznych sprawozdaniach trzech spółek będących sukcesorami „IG Farben — trustu chemicznego”.

Trzy niezależne firmy: „Farbwerke Hoechst”, „Bayer Company” i „Badische Anilin und Soda Fabrik” przekroczyły najlepsze obroty i zyski swej macierzystej firmy już od dawna. Razem panują one w niemieckim przemyśle chemicznym i im zawdzięczać trzeba przede wszystkim mocną zdolność konkurencyjną niemieckich chemikaliów na rynku światowym... Trzy spółki sukcesorskie, utworzone przez władze okupacyjne w 1951 roku odziedziczyły tylko ułamek aktywów „IG Farben”, jakie przetrwały w Niemczech zachodnich. Jednakże Dresdener Bank oblicza, że akcje „IG Farben” wartości 1 000 RM nabyte w 1938, byłyby warte teraz 2 020 MD, co stanowi wzrost o 120 proc.”

(NEW YORK TIMES)

POWAŻNE ZASTRZEŻENIA

„Kanał” jest filmem o niezwykle wyrazie artystycznym — oświadczył m. in. w wywiadzie na temat festiwalu w Cannes przewodniczący delegacji czechosłowackiej, rektor praskiej Akademii Nauk Muzycznych A. M. Drousil. „Młody reżyser Andrej Wajda odznacza się siłą wyobraźni twórczej, a obsada filmu wykazała duże zdolności interpretacyjne.

Pod względem ideowym „Kanał” budzi jednak poważne zastrzeżenia. Znajdują one uzasadnienie nie w tym sensie, że ważne jest czy wszyscy bohaterowie giną, czy też niektórzy przeżyli powstanie, ale w tym, czy film wyraża pełną prawdę na temat przedstawianych w nim wydarzeń, co niewątpliwie było jego celem. Bohaterowie polegli, ale idea żyje. Czy żyje tutaj rzeczywistość? Jest tu wiele bohaterstwa, ale w końcu gubi się jego sens. Jest wiele tragizmu, ale brak katharsis. Dlatego myślę, że „Kanał” nie mógł wyrazić całej prawdy o powstaniu warszawskim. Oczywiście nie jest to wszystko, co można by o „Kanał” powiedzieć, ale tymczasem ograniczmy się do tych uwag”.

(„KULTURA 1957”)

ZDARZENIA TYGODNIA

POLSKA DELEGACJA PARTYJNO-RZĄDOWA POD PRZEWODNICTWEM TOW. WIESŁAWA UDAŁA SIĘ DO NRD

Na zaproszenie Komitetu Centralnego Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności i rządu NRD wyjechała do Berlina delegacja KC PZPR i rządu PRL. W delegacji bierze udział „pierwszy garnitur” rządowy i partyjny: tow. Władysław Gomułka, tow. Józef Cyrankiewicz, Stefan Ignar, Adam Rapacki.

Przewiduje się, że rozmowy będą się toczyć na ważne tematy polityczno-ideologiczne oraz gospodarcze, interesujące oba rządy i partie. Można się spodziewać, że wynikiem rozmów będzie dalsze zacieśnienie przyjaznych stosunków politycznych i współpracy gospodarczej między naszymi krajami.

NRD POMAGA NAM BUDOWAĆ WIELKI KOMBINAT WĘGLA BRUNATNEGO

W Turoszowie na Dolnym Śląsku trwają intensywne przygotowania do rozpoczęcia budowy wielkiego kombinatu węgla brunatnego. Inżynierowie niemieccy opracowali projekt wstępny rozbudowy już istniejącej i budowy nowej potężnej odkrywkowej kopalni węgla brunatnego.

Budowa Zagłębia Węglowego w Turoszowie przyniesie naszej gospodarce narodowej ogromne korzyści. W r. 1956 wydobyte obu odkrywek

osiągnie ponad 25 mln ton węgla brunatnego. Pod względem kalorycznym odpowiada to mniej więcej 8 mln ton węgla kamiennego. Produkcja dwu kopalń odkrywkowych będzie się równała produkcji ok. 8 średniej wielkości kopalń głębinowych węgla kamiennego.

OJCIEC BOMBY ATOMOWEJ ŻĄDA JEJ ZAKAZU

Prof. Otto Hahn prezes towarzystwa im. Maxa Plancka w Getyndze, uchodzący za „ojca bomby atomowej” oświadczył w Londynie, że kontynuowanie doświadczeń z bronią jądrową byłoby niebezpieczne i że zawarcie porozumienia międzynarodowego w sprawie zakazu doświadczeń i zbrojeń jądrowych jest nakazem chwili.

ZGODNIE Z UCHWAŁĄ SEKRETARIATU KC

Towarzysze z aparatu partyjnego wszystkich szczebli (KC, KW i KP) należeć będą do podstawowych organizacji partyjnych w zakładach pracy. I tak:

I sekretarz KC tow. Gomułka — jest członkiem organizacji partyjnej w FSO na Żeraniu, tow. Cyrankiewicz — w Zakładach Mechanicznych im. Nowotki, I sekretarz krakowskiego KW — tow. Motyka — w organizacji partyjnej w Hucie im. Lenina, II sekretarz KW tow. Krzakiewicz w Hucie im. Lenina, członek egzekutywy KW tow. Pięta, w POP przy „Gazecie Krakowskiej”.

CHARLES CHRISTMAS DELEGAT WIELKIEJ BRYTANII POWIEDZIAŁ NA SESJI ŚWIATOWEJ RADY POKOJU

„W związku z moim nazwiskiem pragnę oświadczyć z całą stanowczością, że Christmas Islands (Wyspy Bożego Narodzenia, na których Wielka Brytania dokonała niedawno prób z bronią atomową), nie są moją własnością, gdyby tak było woląbym je widzieć na dnie, aby nie były wykorzystane do takich celów, do jakich wykorzystano je ostatnio”. Światowa Rada Pokoju podjęła apel w sprawie natychmiastowego przerwania doświadczeń wodorowych, zakazu broni masowej zagłady, zawarcia porozumienia w kwestii rozbrojenia i rozwiązywania wszelkich spornych problemów na drodze pokojowej.

TRAGICZNA KATASTROFA POLSKIEGO SAMOLOTU

Z odbiornika na moskiewskim lotnisku słychać głęboki, charakterystyczny głos radiotelegrafisty samolotu polskiego — Łukasiewicza. Jest spokojny — zapowiada, że samolot wylądował za cztery minuty. Po minucie znów się odzywa... Nagle przestaje odpowiadać! Stacja wzywa: rejs 232, rejs 232, mówi Bajka!... stacja poczyną nawoływać nerwowo, pośpiesznie. Na jej prośbę nawołują i inne samoloty w powietrzu... Ale rejs 232 — polski samolot pasażerski nie odpowiada.

W piątek 14 bm. wieczorem około 23.30, w odległości 5-6 km od Centralnego Lotniska Wnukowo pod Moskwą spadł na pola i rozbił się całkowicie polski samolot pasażerski. Zginęło pięciu pasażerów oraz czte-



Polska delegacja partyjno-rządowa podczas pożegnania na dworcu przed wyjazdem do Berlina.

ry osoby załogi. Ocalała jedynie stewardessa oraz trzech pasażerowie. Katastrofa nastąpiła podczas silnej burzy i ulewnej deszczu.

W sobotę rano na osobiste polecenie premiera Bułganina utworzona została komisja rzeczoznawców, która bada przyczyny katastrofy.

W HELSINKACH

Chruszczow udzielił odpowiedzi dziennikarzom na pytania w sprawie zwołania konferencji czterech, zagranicznych wizyt przywódców ZSRR, reakcji na wywiad telewizyjny USA.

Na pytanie korespondenta radia zachodnio-niemieckiego: czy istnieje

jakieś widoki zbliżenia poglądów ZSRR i USA w sprawie zjednoczenia Niemiec? — Chruszczow odpowiedział:

— Pytanie jest trochę dziwne, tym bardziej, że zadaje je Niemiec. Czyż przystoi, aby w sprawie niemieckiej decydowały USA i ZSRR — nie odpowiada to naszym poglądom.

Nie mamy zamiaru z nikim rozmawiać w sprawie niemieckiej. Oświadczałem niejednokrotnie i oświadczamy, że problem niemiecki może zostać rozwiązany jedynie przez samych Niemców, zbyteczne jest, aby inni wtrącali swój nos do tej sprawy. Niemcy sami mogą ją doskonale uregulować w sposób odpowiadający narodowi niemieckiemu.

REPORTAŻ

ANNA STROŃSKA

FOT. A. PIOTROWSKI

CENNIK BANDYTYZMU



Zatrzymany — tłumaczył się, że chciał tylko „zażartować”. Takie żarty, jeśli milicja nie zjawi się w porę, kończą się niekiedy rozprawą przy drzwiach zamkniętych. Ale kolegium określił fakt jako „zaczepianie przechodniów” i zaaplikuje upomnienie, albo grzywnę.



Tak wygląda moment doprowadzenia do komisariatu. Nazajutrz, przed kolegium, będą iły i gorące obietnice poprawy. Przed południem — nieco aktorskiego wysiłku, wieczorem — kolejna „rozróbka”...

SPRAWA MARCZYKA

21

-letni Lucjan Marczyk pobit przechodnia. Byli świadkowie, interweniowała milicja. Czy przypadkiem nie ma w kodeksie karnym artykułu, który kwalifikuje sprawę do prokuratury, do sądowego wyroku?...

Marczyk trafił tylko przed kolegium karno-administracyjne. Powtarza z konsekwentnym uporem, to, co zwykle w takich sytuacjach mówią inni:

— Nic nie wiem, nic nie zrobiłem. Do niczego się nie przyznaję.

Każde orzeczenie kolegium musi być uzasadnione w specjalnej rubryce. A więc i tym razem protokolantka notuje pod dyktando:

„...ob. Marczyk nie przyznał się do winy, wykorzystywał to, że idzie do wojska (?). Spowodował awanturę, zaczepił obywatela P. uderzając go bez powodu w twarz przy czym rozciął mu wargę (podkreśl. moje — A.S.). Po wezwaniu MO zaczął uciekać. Mimo trzykrotnego użycia broni na postrach przez goniącego go również oficera WP, nie zatrzymał się, złapał go dopiero pies milicyjny...”

W sprawie Lucjana Marczyka, czteroosobowy zespół kolegialny przy DRN Stare Miasto orzekł ustnie upomnienie.

ZAWÓD I ZARZUT

Zapytana o zawód, Anna Kaczyńska informuje: „inteligentka”. Zarzut sprecyzowano już wcześniej, na komisariacie. Ordynarne, pijackie zaczepianie przechodniów, jeszcze ordynarniejsze wymysły pod adresem interweniującego patrolu MO. I znowu rubryka „wyjaśnienia obwinionego” utrwała:

— „Byłam pijana, może coś zrobiłam, bo ja wiem, że jestem niezdolna, jak jestem pijana”.

Rozczulające, prawda? Kaczyńska zaś odchodzi różnym krokiem wysłuchawszy paru słów upomnienia.

METODY

I tak jest dzień po dniu. Nigdzie nie pracujący Andrzej Szczygielski upił się, awanturował nocą, zniszczył poręcz schodów w kamienicy. Zapewnia:

— Postaram się naprawić to co zrobiłem. Jakże tu nie wierzyć? W dowód zaufania — tylko upomnienie.

23-letni Kazimierz Gzik „będąc w stanie nietrzeźwości wywołał awanturę na placach”. Wiemy co może oznaczać taki ogólnik. To przecież codzienny widoczek; spacerowicze wycofują się w popłochu, banda podchmielonych osobników zaczepia, ryczy chamskie śpiewki, ugania się za dziewczętami.

Gzik także wysłuchał upomnienia.

Owszem, zdarzają się i grzywny, nawet często. Nie myślcie jednak, że grzywna o r z e c z o n a równa się grzywnie zapłaconej. Dla nikogo w Krakowie nie jest tajemnicą, że „egzekwowanie” tych kwot ogranicza się do przesłania pisemnego monitu. Z czasem następuje przewidziane ustawą przedawnienie i sprawa idzie w niepamięć. A poza tym...

ILE ZA POBICIE?

Właśnie tak: ile? Wykroczenia, czy już nawet przestępstwa wyraźnie sprecyzowane artykułami kodeksu karnego (ubliżenie, pobicie) zamast do prokuratury wędrują tam, gdzie w y c e n i a się je podług codziennego widzi mi się zespołu laików. Nie każdy zresztą ma takie szczęście, jak Lucjan Marczyk. Zdarzają się i radykalniejsze posunięcia. Oto np. 19-letnia Danuta Krakowska za rękoczyn przed kinem „Uciecha” zapłaciła 50 złotych... Pijany Jan Kulisa, który zabierał się do pobicia kierowcy taksówki za to, iż ten ośmielił się żądać uregulowania rachunku — ukarany został a ż 300 złotych grzywną...

LEPIEJ BIĆ, NIŻ ŚMIECIĆ

Bóg jeden raczy wiedzieć, jakimi kryteriami kierują się zespoły przy ustalaniu poszczególnych orzeczeń. Zróznicowania i subtelne niuanse przedstawiają się z reguły tak;

- o handel uliczny bez uprawnień — 300 złotych
- o pijackie atakowanie przechodniów — 150 złotych
- o zaśmiecanie chodnika węglem — 100 złotych
- o maltretowanie rodziny po pijanemu — upomnienie
- o wybić szyby — 200 złotych
- o cios zadany w twarz przechodnia — 300 złotych
- o trzepanie chodników na schodach — 100 złotych
- o ubliżenie urzędnikowi w służbie — 150 złotych

POEMAT PEDAGOGICZNY

Progresję surowości wobec stałych bywalców wymowniej ode mnie naświetli edukacja niejakiego Mariana Walerycha. Pierwszym razem, za udział w bójce pod kinem — zapłacił 150 złotych. Drugim, za nieuzasadnione spoliczkowanie przechodnia, nieco więcej, bo 300 złotych (!). Ostatnio zaaplikowano mu dla urozmaicenia miesiąc pracy poprawczej (20 procent potrącenia z zarobku). A że Walerych nigdzie nie pracuje, któż by wątpił, iż dobrowolnie zgłosił się do MPO, czy Zarządu Złoteńców Miejskich, celem miesięcznej pokuty...

ŁZY — NAJLEPSZY ADWOKAT

Tym razem — kolegium na placu Wiosny Ludów. Przyszedł specjalnie, żeby posłuchać, jak też potoczy się sprawa młodzieńca, którego zatrzymania przypadkowo byłam wczoraj świadkiem. Zarzut? Naturalnie chuligaństwo. A więc bójka w barze „Teatralnym”, a więc dzięki wrzaski, wygrażania i szarpanina z milicjantem. Ten sam milicjant przyszedł zresztą, szczegółowo opo-

wiada przebieg zajścia, pokazuje swój na oczekaniu zacerowany mundur.

— I co tu z tobą zrobić? — zwraca się do winnego starsza dobrodusznia niewiasta. — Taki jesteś młody...

Chłopak płacze. On już nigdy więcej, słowo honoru, że nigdy, to był pierwszy i ostatni raz...

— Nieprawda, znamy go — przerywa milicjant — był już doprowadzony przed kolegium...

— Ale jak obiecuje?...

Chłopak odchodzi, przyrzekając, że upomnienie zachowa w pamięci. Łzy momentalnie zniknęły. Na korytarzu czeka kolega. Mówią coś półgłosem i zaśmiewają się obaj, chociaż milicjant ich obserwuje. Ale co to szkodzi? Już jest przecież po wszystkim. Teraz — już się nie liczy.

Milicjant patrzy na mnie, ja na milicjanta. Zdaje się, oboje myślimy to samo.

ZNIEŚĆ KOLEGIA?

Moim zdaniem — tak. A przynajmniej całkowicie zreorganizować. Jest aż nadto dowodów, że swoim dotychczasowym działaniem pożytek przynosił minimalny, szkody zaś, jeśli idzie o rozzuchwalenie tzw. chuliganerii, olbrzymie.

Orzecznictwo karno-administracyjne ma rację bytu w pewnym tylko zakresie spraw. Trudno żądać, aby z każdym „nieprawidłowo” wytrętanym chodnikiem, każdą stertą śmieci na chodniku obnosić się po sądach. Ale wszystkie czyny określane dotąd plynym terminem „naruszenia spokoju publicznego” muszą być powierzone opinii i decyzji osób rzeczywiście kompetentnych, to znaczy prawników.

A CHOCIAŻBY TAK...

Ile wydziałów prawa liczy sobie Polska? Rokrocznie setki absolwentów opuszczają uniwersytety. Mówi się o niewystarczającym, bo zbyt krótkim przygotowaniu praktycznym, jakie dzieli nowicjuszy od momentu otrzymania tytułu sędziego, czy prokuratora. Czy nie byłoby słusne, aby dyplomowani prawnicy rozpoczynali swój staż właśnie w orzecznictwie karno-administracyjnym?

Ścisła zależność kolegów od sądu, obowiązek okresowego przedstawienia do kontroli władzom sądowo-prokuratorским wszystkich napływających zawiadomień o wykroczeniach wraz z podaniem sposobu ich załatwienia — innej rady nie widzę.

CYFRY, KTÓRE GROŻĄ

Wielkim głosem woła się o profilaktykę karną, o przywrócenie spokoju na ulicach miast. Obawiam się, że jeśli zabiegów nie rozpoczniemy od zajęcia się fikcyjną, karykaturalną namiastką sprawiedliwości, jaką reprezentuje aktualny system orzecznictwa, to wszelkie wysiłki w tej mierze nie wyjdą poza sferę walki z wiatrakami. W samym tylko komisariacie dworcowym zatrzymano od stycznia do 12 czerwca br. 1009 osób pod zarzutem głównie chuligaństwa. Około 40 „klientów” przewija się dziennie przed każdym dzielnicowym kolegium w Krakowie. O to rachunek tolerancji, który mówi sam za siebie.

ANNA STROŃSKA

NAUKA

13 km od Katowic, tam gdzie leży 200-tysięczny dziś Bytom, miała być pustynia, życie miało tam zamrzeć niemal całkowicie. Bytom, miasto o 900 letniej tradycji skazał hitlerowcy na zagładę. To śląskie, górniczo-hutnicze miasto przypomina dobry keks. To co najlepsze, najwartościowsze, znajduje się w środku, w przypadku Bytomia wewnątrz ziemi. Tuż pod miastem, od 100 metrów począwszy aż do 1000 metrów w głąb ziemi spoczywa majątek nie-

Pokłady takie określa się, jako tzw. filary ochronne, czy filary bezpieczeństwa.

Były to podówczas lata czterdzieste.

I oto przed paroma miesiącami rozszedła się na Śląsku zaskakująca wiadomość. Kopalnia „Szombierki” rozpoczęła eksploatację bytomskiego filara węglowego. Węgiel spod miasta idzie już na powierzchnię. Pierwszy szturm na zamrożone bogactwa przypuszczony. Historia polskiego górnictwa zapisuje nowy rewelacyjny sukces. Do krakowskiej AGH napływają dziesiątki korespondencji. Świat dopytuje się o szczegóły eksperymentu, który łamie jedną z niezłomnych zasad nauki górniczej.

Prof. Budryk jest głównym auto-

tekt tzw. generalny wstępny projekt eksploatacji filaru bytomskiego, zatwierdzony na początku br. to pięć pokątnych tomów.

Owym przysłowiowym najcięższym orzechem do zgryzienia był problem równomiernego osiadania terenu miasta. Trzeba zdać sobie sprawę, że po wyeksploatowaniu węgla spod Bytomia wytworzy się w środku ziemi pustka głębokości 30 metrów. Pustka ta będzie stopniowo, w miarę postępu eksploatacji, zamierzonej na parę dziesiątków lat, wypełniana podsadzką płynną, a zatem piaskiem. Toteż jak wykazały obliczenia, mimo iż podziemna wywra pod miastem będzie miała około 30 metrów głębokości, samo miasto osiadnie tylko o 2,5 metra.

Międzykontynentalny POCISK RAKIETOWY

Było to w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 r. W Berlinie wszystkie syreny od kilkunastu minut rozbrzmiewały żalonym rykiem. Alarm przeciwlotniczy postawił na nogi wszystkich mieszkańców stolicy. Olbrzymia eskadra samolotów bombowych RAF zbliżała się szybko do miasta.

Nagle syreny ucichły, alarm — odwołano. Nieprzyjacieł błyskawicznie wykreślił na północny wschód i uderzył na niewielką rybacką miejscowość

ogromnej rakiety „Atlas” oraz międzykontynentalnego pocisku raketowego „I.C.B.M.” (Inter-Continental Ballistic Missile) o zasięgu co najmniej około 5 000 kilometrów.

Pocisk taki jest kilkustopniowa rakietą. Po wypaleniu paliwa odpada kolejno poszczególne stopnie a końcowy pocisk nabywszy szybkości paru kilometrów na sekundę wznosi się kilkaset kilometrów ponad ziemię leci w stronę celu lo-

WĘGIEL

wartości 15 miliardów zł spod Bytomia

zmierzony. Przeszłość zgromadziła tu około 400 milionów ton węgla i ponad 140 milionów najcenniejszych rud, przede wszystkim cennego cynku. W tym układzie dla hitlerowców bez wątpienia ważniejsze były залегаjące pod miastem minerały, niż zabudowania Bytomia. Krok jeden dzielił autorów planu zagłady Bytomia, od realizacji ich zamierzenia. Już opracowywano metody stopniowego przesiedlenia ludności. Zbrajano czas. I Bytom pozostał. Pozostali myśli o wydobyciu spoczywających pod miastem minerałów. Były tylko coraz niemiejsze, coraz bardziej grawitujące ku granicy utopii. Bo nikt w Polsce Ludowej nie zamierzał w najmniejszym bodaj stopniu rezygnować choćby z części stanu posiadania Bytomia. A odwieczna zasada górniczych prac, przestrzegana na całym świecie, głosiła nienaruszalność pokładów węgla pod zwartymi kompleksami mieszkaniowymi, czy przemysłowymi.

rem metody eksploatacji węgla spod Bytomia, która realizuje w „Szombierkach” dawny jego asystent inż. Jabiecki.

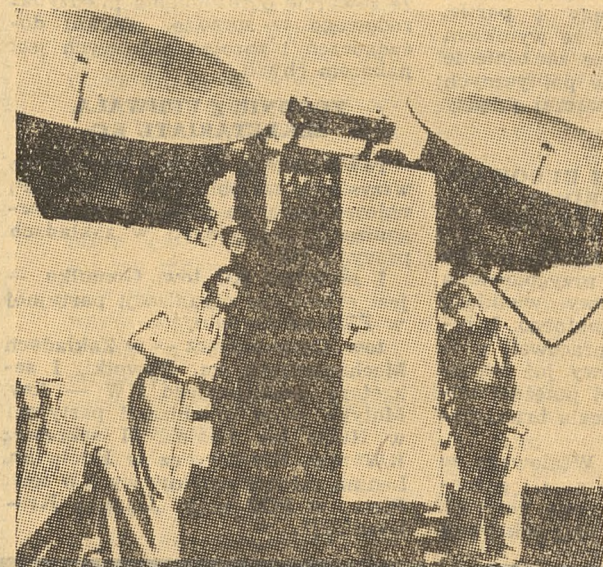
Prof. Witold Budryk to nazwisko zna cały świat. Uczony torujący nowe szlaki myśli naukowej. Jest dla polskiego górnictwa tym, czym Wacław Sierpiński dla matematyki, czym był Ludwik Hirsfeld dla immunochemii. W dotychczasowym dorobku profesora znajduje się m. in. teoria podsadzki płynnej — wypełnianie piaskiem tłoczonym pod ciśnieniem, pustych wyrobisk po wybraniu węgla, metoda zrodzona w Polsce, a świeżąca dziś triumfy na całym świecie.

Ta właśnie metoda na skalę nie mającą precedensu wprowadzona w Polsce, stała się jedną z podstaw, na których prof. Budryk oparł swe badania nad możliwością eksploatacji węgla spod Bytomia. Opracowywanie teorii trwało kilka lat, a jego e-

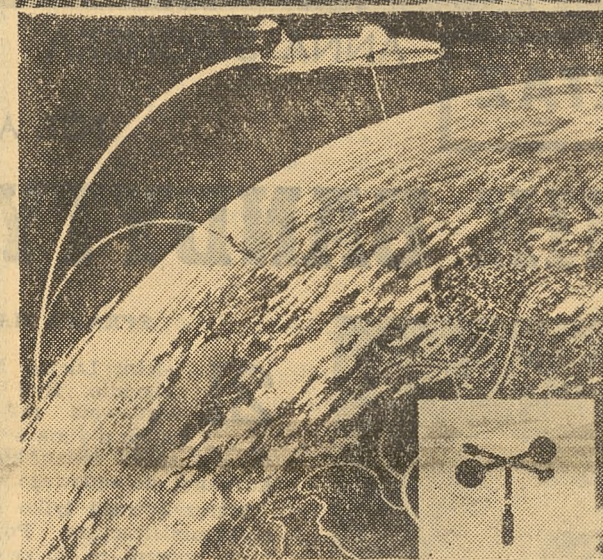
Szkody oczywiście będą, ale szkody niewspółmierne do osiągniętych korzyści. Prof. Budryk przyjął w swych obliczeniach dziesięciokrotny współczynnik bezpieczeństwa. Toteż w przeliczeniu na 1 tonę wydobytego węgla kopalnia „Szombierki” płaci za poniesione w mieście szkody 8,40 zł, podczas gdy takie kopalnie jak np. Zabrze-Wschód nie eksploatujące węgla spod miast, mają znacznie większe wydatki na szkody górnicze.

Eksploatacja węgla spod Bytomia zapoczątkowująca systematyczne wydobywanie węgla spod miast i wielkich obiektów przemysłowych, to jedno z największych osiągnięć polskiej nauki górniczej. Bogactwa mineralne, które залегаły pod Bytomiem szacowane są na 15 miliardów dolarów. Prof. Budryk i jego współpracownicy odzyskali te miliardy dla Polski.

A. W.



Aparatura stacyjna do radiowego sterowania pocisków raketowych.



Amerykańskie pociski raketowe automatycznie kierowane.

NOWOŚCI NAUKI I TECHNIKI Z CAŁEGO ŚWIATA

Bomba meteorologiczna

W Europie zachodniej, a szczególnie w Stanach Zjednoczonych, mówi się ostatnio o „wojnie meteorologicznej”.

Dla pewnych kół, bomba atomowa i wodorowa już nie wystarcza, tak samo zresztą jak i niedostateczne są, ich zdaniem, chemiczne i bakteriologiczne środki niszczenia. Marzą w związku z tym o jeszcze straszniejszej broni tzw. „bombie meteorologicznej”.

Bomba meteorologiczna może spowodować — ich zdaniem — na obcym terytorium posuch lub straszne ulewę, niszczyć w ten sposób na olbrzymich polach ziemi plony i powodując inne szkody. Wybitny uczony amerykański von Neuman (zmarty niedawno) wysunął pogląd, że ludzkość za kilkadziesiąt lat będzie mogła skutecznie interweniować w dziedzinie zjawisk atmosferycznych i klimatycznych i to w takim stopniu, że powstanie możliwość wywołania zębnych następstw w pewnych polach globu ziemskiego. Zdaniem Neumana straszliwe możliwości wojny atomowej ustępują miejsca bardziej tragicznym w skutkach niżłościom wojny meteorologicznej.

Jeszcze w roku 1953 pewien przedsiębiorca amerykański Harry Hugenheim oświadczył, że bomba atomowa jest obecnie najpotężniejszą bronią niszczenia życia, kontrola natomiast nad pogodą może stać się najsukutekniejszym sposobem niszczenia środków do życia.

U podstaw tego pomysłu tkwią niewątpliwie przedwczesne wnioski wyciągnięte z pewnych badań naukowych, poświęconych jednemu z najbardziej interesujących zagadnień leżących na pograniczu fantazji i rzeczywistości — zagadnieniu aktywnego oddziaływania na procesy meteorologiczne.

Istotnie w ostatnich czasach uczonym różnych krajów udało się oddziaływać aktywnie na pewne żywiołowe procesy meteorologiczne, ale interwencja ta pod względem swoich rozmiarów była niewielka, i odbywała się na stosunkowo małej przestrzeni.

Radziecki uczony prof. Fiodorow wyraża pogląd, że w chwili obecnej nie ma jeszcze poważnych naukowych podstaw dla możliwości prowadzenia wojny meteorologicznej. Widzi on poważne trudności przede wszystkim w bezsilności ludzkiej na odcinku pokonywania względnie zmiany gigantycznej energii jaką dysponują procesy meteorologiczne. Głównym źródłem energii procesów meteorologicznych jest słońce. Ono ogrzewa powierzchnię ziemi i atmosferę. Na 1 km kw. ziemi w ciągu dnia pada od słońca tyle ciepła, ile potrzeba dla produkcji około pół miliona kw/godz. energii elektrycznej. Olbrzymia energia procesów atmosferycznych stanowi więc zasadniczą przeszkodę w oddziaływaniu człowieka na pogodę.

Z drugiej jednak strony prof. Fiodorow podkreśla, że ruch powietrza, jego nagrzewanie się i ochładzanie, parowanie i kondensacja wilgoci znajduje się przeważnie w stanie względnej równowagi.

Niekiedy równowaga ta staje się chwiejną i wtedy wystarczy nieznaczny bodziec, aby została naruszona i aby procesy olbrzymich rozmiarów — niczym lawina spowodowana grządką śniegu — „poszły” w tę lub inną stronę. Ta wrażliwość atmosferycznych procesów otwiera możliwości oddziaływania na zjawiska meteorologiczne, a w szczególności na chmury i opady atmosferyczne.

Oddziaływanie człowieka na rozwój chmur osiągnęło obecnie poważne rezultaty. Stosuje się już opylanie niskich chmur i mgły nad lotniskami w okresie zimowym. Wiadomo, że zimą chmury o temperaturze minus 30 st. składają się najczęściej z kropli wodnych, które na skutek pewnych zjawisk fizycznych, nawet przy tak niskiej temperaturze nie zamarzają. Ale chmury te można zamrozić i przemienić w stan krystaliczny przez posypanie ich z góry „suchym lodem”. Wówczas wilgoć w postaci śniegu opada na ziemię, a chmury rozpraszają się.

Na tej podstawie niektórzy uczeni wyrazili pogląd o możliwości spowodowania sztucznego śniegu lub deszczu. Opady takie rzeczywiście powstają, ale w bardzo skąpej ilości i są tak słabe, że wyprawują w powietrzu nie osiągnąwszy ziemi.

Czy można jednak myśleć o bardziej poważnym wkroczeniu człowieka w dziedzinę meteorologicznych procesów, obejmujących nie tylko zmianę pogody w pewnym okresie czasu na terytorium niedużego obszaru, ale i dokonaniu trwałych zmian klimatycznych na dużych przestrzeniach?

Na razie zagadnienie to znajduje się na pograniczu fantazji. Oczywiście wszelkie osiągnięcia nauki mogą być wykorzystane ze szkodą dla ludzkości, ale zjawiska meteorologiczne w najmniejszym stopniu nadają się do tego celu.



Nowe odkrycie archeologiczne na Cyprze. Idol kamienny z epoki kultury mykenskij

Procesy meteorologiczne i hydrologiczne określające pogodę i klimat w jakimś konkretnym miejscu stanowią bardzo złożony kompleks powiązanych ze sobą i szybko zachodzących zjawisk obejmujących całą kulę ziemską.

Jeżeli jakieś państwo próbować będzie wywołać sztuczne deszcze lub posuch u swego przeciwnika — spotkać go może stokrotnie gorszy odwet.

Oprac. M. KUPLOWSKI

Biali z Murzynów

Prof. Jacques Benoit oświadczył niedawno we Francuskiej Akademii Nauk, że udało mu się przeprowadzenie eksperymentu zmiany gatunku kaczek przez zastrzyki D. N. A. (kwas Desoxyribonu kłoinowy), który uzyskał z jader komórek kaczek innego gatunku. Eksperyment ten miał przebieg następujący: D. N. A., która ma decydujący wpływ na dziedziczenie cech uzyskano z komórek kaczek-khak, zastrzyknięto dziewięciu kaczkom pekińskim w okresie 19 tygodni, co tydzień jeden zastrzyk, trzem kaczkom dano nieco mniejsze dawki. Pierwsze zastrzyki otrzymały kaczki w dniu 28 czerwca 1956 r., w październiku ub. roku kaczki zaczęły się już zmieniać, a w listopadzie uzyskały wygląd „nowego” gatunku kaczek, odznaczających się miękkimi białymi piórami i dłoziem nakrapianym na czerwono, żółto lub zielono. Normalnie kaczki pekińskie posiadają jednobarwny dłoźb koloru żółtego, a kaczki-khaki ciemnozielonego. Waga, postawa i zachowanie się kaczek wykazywały również istotne zmiany; zauważono również, że „nowe” kaczki są bardziej poufale niżeli dawne.

Transformacje w mikroorganizmach pod wpływem DNA są już od dawna znane, ale zmiana wielu komórek w ciele ptaka udało się dopiero po raz pierwszy prof. Benoit. Czy „nowokreowane” kaczki będą przekazywać swe cechy potomstwu — oto pytanie, które rozstrzygnie dopiero przyszłość. Gdyby tak było, eksperyment prof. Benoit stanowiłby nową rewolucję w nauce o dziedziczeniu. — Znany francuski biolog prof. Rostard widzi następujące możliwości praktycznego zastosowania badań prof. Benoit:

zamiana Murzynów na białych, zamiana małp na zbliżone do ludzi zwierzęta robocze, zamiana dzieci, które urodziły się jako idioci — na geniuszów.

Ultradźwięki i raki

Ale ultradźwiękowe stosuje się obecnie w wielu dziedzinach medycyny. Ostatnio lekarzom z Mayo-Klinik w Rochester (Minnesota) udało się częściowo rozbić przy pomocy fal ultradźwiękowych komórki rakowe. Bakteriolog dr G. Bosco z uniwersytetu w Chicago wstrzyknął za pomocą fal niektóre zmiany w komórkach pewnych bakterii, przy czym plazma pozostaje bez zmian, tak, że może być użyta do wytwarzania odpowiednich zastrzyków.

wość Peenemünde, u ujścia rzeki Peene do zalewu szczecińskiego. Tysiące ton TNT spadło na ukryte wśród lasów przybrzeżnych fabryki, laboratoria, magazyny.

Około 7 000 najwybitniejszych przedstawicieli przemysłu lotniczego i raketowego, wojska i partii NSDAP radziło właśnie w Peenemünde nad sprawą międzykontynentalnego pocisku raketowego, który miał zanieść bomby atomowe do stolicy USA. Rakietą V-2 o zasięgu kilkuset kilometrów była już wypróbowana i oddana do seryjnej fabrykacji kilkunastu wytwórniom w głębi kraju.

Wprawdzie próby wyrzucania tych rakiet z polskiego miasteczka Blizna w stronę wsi Sarnaki wypadły mizernie (około 100 rakiet zburzyło kilkanaście domów, zabiło jednego człowieka i raniło ciężko jedną kobietę), to jednak „Vergeltungswaffe 2” (V-2) okazała się skuteczniejsza w ataku na Londyn.

Ale tymczasem Peenemünde, centrum naukowo-dosлідzaczalne niemieckich specjalistów raketowych, przestało istnieć. Zginęło wówczas od nalotu 1500 inżynierów, techników, oficerów — wśród nich gen. Jeschonnek szef sztabu lotnictwa. Może drugie tyle osób, jeszcze tej samej nocy i następnego ranka wyrzuciła Gestapo wśród ruin w poszukiwaniu za „szpiegami” i „zdrajcami”, którzy naprowadzili wroga na Peenemünde. Tymczasem dzieło zniszczenia tej placówki doszło do skutku dzięki wywiadowi polskiej armii podziemnej.

Po wojnie około 100 fachowców raketowych niemieckich uratowanych z pogromu Peenemünde, przesiedliło się do USA wraz z rodzinami, zajmując wybitne stanowiska w Redstone Arsenal (stan Alabama), gdzie projektuje się i wytwarza pociski raketowe. Pracują tam m. in. hr. Wernherr von Braun i prof. dr Hermann Oberth, współtwórcy wspomnianej rakiety bojowej V-2.

Już od paru lat prasa amerykańska podawała wiadomości o budowie

tem „balistycznym”, a więc nabytym rozmachem, bez działania silnika.

Trafienie pocisku do celu jest skomplikowanym zadaniem, które spełniają zarówno urządzenia stacyjne przy wylocie pocisku ze stacji (kierowanie prowadząca wiązką radiową) jak i aparatura wbudowana w pocisk (samosterowanie podczas lotu oraz radiolokacja czyli naprowadzenie pocisku na cel w końcowej fazie lotu).

Jak wiadomo z dzienników, pocisk dalekiego zasięgu o masie z pewnością rzędu co najmniej stu ton, wystrzelony niedawno w Stanach Zjednoczonych, zawiódł pokładane w nim nadzieje i po przelecie 130 kilometrów spadł, na szczęście na pustynie, bez szkody dla mienia i zdrowia ludzi.

Należy podkreślić, że jest to już trzecia nieudana próba dalekosiężnych pocisków raketowych. Jeden z nich „zgubił się” w puszczech Brazylii, drugi, wypuszczony we Włoszech, też spadł przed dojściem do celu. Widocznie aparatura radiowa jeszcze nie jest dostatecznie pewna i zawodzi poza obrębem laboratoriów.

Jest to oczywiście tylko kwestią niedalekiej przyszłości, że „dziecinne” choroby pierwszych automatycznych rakiet wielkiego formatu, będących wstępem do komunikacji międzyplanetarnej, zostaną pokonane przez setki i tysiące uczonych i techników, którzy pracują nad problemem raketowym zarówno dla celów wojskowych jak i ogólnoludzkich. Ogromne koszty, idące w setki milionów dolarów, wykładane na te cele przez wszystkie większe państwa, „trusty mózgów” różnych narodowości i rozległe prace naukowe-badawcze z pewnością przyniosą niebawem decydujące rozstrzygnięcie.

Jak o tym świadczy niedawno odbyta konferencja techniki raketowej i astronautyki w Warszawie także Polska zaczyna poważnie interesować się tym zagadnieniem.

E. BIAŁOBORSKI

CO CZYTAĆ

Na co się przydałyby iście żonglerskie wyczyny niektórych historyków literatury świadczy ostatnio wydana „Rodzina Polanieckich” Henryka Sienkiewicza i jego „Bez dogmatu” (PIW). Zostało to wszystko rozchwycone, a ze specjalną wnikliwością i złościwością wszyscy kupowali „Rodzinę”, ów „panegiryk na cześć klas posiadających, na cześć ziemiaństwa i arystokracji”. Wydaje mi się, że po prostu każdy dzisiaj chce z ciekawości zobaczyć, jak wygląda naprawdę ów panegiryk. No, bo rzeczywiście Sienkiewicza z „Rodziną Polanieckich” znało się dotychczas z niedostępnego wydania zbiorowego i z parodii Boya.

Poza tym należy zauważyć, że „Bez dogmatu” jest niedocenioną książką Sienkiewicza, która z powodzeniem można nazwać powieścią psychologiczną. Powieścią na pewno ciekawszą od naprawdę słabej „Rodziny Polanieckich”. Jak wiadomo zresztą, trylogia jest wielkim dziełem, a „Krzyżacy” i „Quo vadis” obok niej stanowić będą zawsze o wielkości Sienkiewicza.

Kazimierz Dziewanowski wydał w „Iskrach” reportaż pt. „Świadek z kraju Kafki”. Reportaż świetnie napisany, z werwą, dowodzący, że autor jest bystrym obserwatorem społecznym. I to takim obserwatorem, reporterem, który znajduje się zawsze w miejscach najbardziej zapalnych, najbardziej istotnych dla rozgrywanej się dramatycznej ciężkiej współczesności. Oto Miastko — sprawa Kaszubów, oto przemysł Ziem Zachodnich, oto Żerań. Tak, Dziewanowski zamieścił w „Świadku z kraju Kafki” świetny reportaż „Żerańskie trzęsienie ziemi”. Twierdzi, że ten reportaż właśnie nie będzie przez przyszłych historyków cytowany jako dokument. Być może sam autor nie chciał z tego reportażu robić dokumentu — ze słowem tym łączy się jakaś przykra oficjalność. A jednak Goździk, delegacje robotnicze, atmosfera rewolucyjności, wszystko to rzeczywiście pachnie arcyinteresującym dokumentem.

Janusz Minkiewicz wydał w PIW-ie libretto do operetki J. Offenbacha „Piękna Helena”. Wszyscy się tym librettem zachwycali; ja mniej niż inni. Oto Agammemnon mówi do Parysa (językiem Minkiewicza):

„Mimo wszystko udzielam ci głosu, kolego, bo demokratyzacja u nas na całego”. Oto Helena mówi do Menclausa: „Kto ją rozgrywał? Ty? Ja tu jestem nie przemoc”. A Parys wtedy odpowiada: „Swe grosze wtrąć trzy”

Orest dodaje:

„Wpłyn na nią i podzielał nieczym brom”. Ośmielam się zauważyć, że jedyną doskonałą przeróbką libretta operetki jest przeróbka Galczyńskiego „Orfeusz w piekle”. Ba! Ale na to trzeba być Galczyńskim!

Stanisław Skalski jest autorem „Czar. snych krzyży nad Polską” drukowanych najpierw w „Kierunkach”, a po zerwaniu z pismami „Paxu” drukowany. mi we fragmentach w „Świecie”. Ten doskonały reportaż (Wydawnictwo MON) z walk polskich dywizjonów lotniczych w roku 1939 zawiera opisy bitew powietrznych nad Toruniem i Bydgoszczą, cofanie się zasięgu lotnisk, gorzki smak klęski. Wiele ciekawych, interesujących faktów z okresu kampanii wrześniowej znaleźć może czytelnik w książce Skalskiego. Zdjęcia, tablica porównawcza sił powietrznych Polski, dobre rysunki — podkreślają atrakcyjność tego wydawnictwa.

Każdy z nas chciałby mieć takiego strasznego dziadunia, jakiego właśnie w „Strasznym dziaduniu” przedstawiła Maria Rodziewiczówna, przeżywająca ogromny renesans w polskich wydawnictwach. „Iskry” wydały „Strasznego dziadunia” starannie. I pomyśleć, że owa powieść należała jeszcze parę lat po wojnie do obowiązkowej lektury szkolnej! Wycofano ją prawdopodobnie dlatego, żeby nie przyzwyczajać młodzieży do przygód i marzeń o bogatym członku rodziny, który jak duch opiekuńczy otacza swego wnuka przyjaciółmi pilnującymi go przed złymi przygodami.

Gazet albo gazeta (po arabsku „przeźwido”) — jest to ulubiona forma poezji lirycznej perskiej i tureckiej, zapożyczona od Arabów. Hafiz Schems ed-Din-Mohammed (żyjący w latach 1320—1389) to jeden z największych liryków perskich, który tę gazetę właśnie doprowadził do szczytu perfekcji. Po jego śmierci przyjaciel poety Mohammed Gulistan zebrał i wydał jego „Dywan gazet”. To mówi encyklopedia. Natomiast Ananiasz Zajackowski mówi o wiele więcej, bo „Gazeta wybrane” w jego tłumaczeniu wyszły nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Są to prześliczne wiersze liryczne, pieśni biesiadne, ozdobione tak doskonałymi reprodukcjami miniatur perskich, arabskich, tureckich, że człowieka dosłownie „zatyka” i gotów jest dać rzeczywiście kilkadziesiąt złotych, aby mieć tak śliczną książkę w domu.

Życie każdego człowieka ma swój rok „1814”. Zdanie to jest zaczerpnięte z „Małych niedoli pojęcia małżeńskiego” wielkiego Balzaka. „Czytelnik” wydał książkę w tłumaczeniu i z przedmową Boya. Na marginesie cytowanego zdania przypominamy Czytelnikom, że rok 1814 jest rokiem klęski Napoleona pod Waterloo. Wprawdzie nie każdy mąż musi być zaraz Napoleonem, ale smak klęski się zna...

(Stanisław)

TENDENCJE MŁODEGO MALARSTWA

SZUKA



STOSUNEK MŁODYCH MALARZY DO MISTRZÓW SZTUKI ABSTRAKCYJNEJ

Pytanie: Malarstwo abstrakcyjne miało jak się zdaje u swoich podstaw pewną teorię intelektualną... Czy Pan interesował się tymi teoriami i czy uważa je Pan za wartościowe? Czy Pańskim zdaniem działalność artystyczna twórców sztuki abstrakcyjnej była zdeterminowana przez te teorie? Czy sądzi Pan, że na ich obrazy należy patrzeć bez uwzględniania koncepcji, które jakoby miały je inspirować? Jeśli tak, czy teorie te wydają się Panu przebrzmiałe i dlatego?

Odpowiedzi:

CORNEILLE: Teorie Van Doesburga i Mondriana (moich współrodaków) zapożyczyły całe pokolenie rodzacą nową wizję świata; odcisnęły swe piętno i w sposób widoczny nadal je odciskają zwłaszcza na architekturze w Holandii (i gdzie indziej) a także na reklamie ulicznej i typografii. Owa apologia kąta prostego, barw zasadniczych — czerwonej, niebieskiej, żółtej — stała się już w pewnej mierze składową częścią życia człowieka; ale równocześnie ta sztuka rygorystyczna, bezosobista, wyprana z namietności (przesycona czystym rozumem), stała się czymś zużyтым, martwym, przestała odpowiadać dzisiejszemu sposobowi odczuwania; nie można wiecznie wychodzić z tego samego założenia... Apollinaire powiedział gdzieś: „Nie należy tkwić przy trupie swego ojca”.

GÖTZ: Wydaje mi się, że twórczość Malewicz jest zdeterminowana przez jego teorię,

M. GOERTZ

mimo istniejących rozbieżności (z wyjątkiem dydaktycznej części jego książki, gdzie omawia podstawowe metody nauczania, które jedynie częściowo dotyczą teorii suprematyzmu).

Malewicz próbował, poprzez akt emanacji, uzyskać plastyczną rekonstrukcję swoich własnych uczuć. Odrzucał, jako środek wyrazu, wszelkie przedstawianie dotyczące przedmiotu i wybierał formy geometryczne rzucone w pustą przestrzeń, „w pustynię” jak mówił. Mimo to rezultatem tego są symbole, abstrakcje pewnych przedmiotów, znaki, co jest sprzeczne z zasadą bezprzedmiotowości i nie zawsze wywołuje w widzu uczucia odpowiadające podstawowemu tematowi uczuciowemu Malewicz, tego wielkiego mistyka, który walczył z przedmiotem a doszedł do uprzedmiotowienia geometrii w sposób mistyczny.

U Mondriana, moim zdaniem, twórczość odpowiada teorii. Usunął on kolejno przedmiot, abstrakcję przedmiotu i znak. Uprawił „pozytyw-negatyw” lub „przestrzeń negatywną”. Jego środki celowo były ograniczone, co nie przeszkadza, że jego teoria częściowo zachowała wartość dla naszych współczesnych malarzy.

Łatwo można „zrozumieć” twórczość tych artystów umiejscawiając ją w ewolucji całego malarstwa, od Cézanne’a do naszych dni, nie przyjmując jednak ich teorii. Ale studiując ich teorie bez trudu zrozumie się ich „błędy” i zrozumie się dlaczego musiano kontynuować malarskie poszukiwania.

KUJAWSKI: Plastycy abstrakcyjniści z początku XX wieku zadziwili przede wszystkim przez wynalezienie wykalculowanej dekratywności.

Nie znam ich teorii i bardzo słabo znam ich dzieła. Nie mogę się jednak zgodzić z tym, by zaliczano do tej samej kategorii mistyczne malarstwo Mondriana i inżynierskie wprawki Van Doesburga.

DOVA: W dziełach Mondriana, Malewicz, Van Doesburga „ideologia” jest zbyt widoczna, zbyt jawna: wcieliła się w ich obrazy zamiast być ich ukrytą sprężyną. W tym sensie obraz jest wyłącznie manifestem.

SERPAN: „Twórcy sztuki abstrakcyjnej” nie wypracowywali swoich teorii przedtem zanim zaczęli malować. Teorie te w tym samym stopniu determinowały dzieła w jakim były przez nie determinowane. W rzeczywistości geneza tych teorii zlewa się z towarzyszącą im genezą dzieł, które były równocześnie ich pobudką, świadectwem, konsekwencją a nieraz stanowiły dla nich alibi. Rzecz jasna, że później, gdy teoria już dojrzała (gdy tym samym pojawiły się zapowiedzi sklerozy) płótna były malowane zgodnie z jej wymogami.

Uogólnijmy: twórcy — i przez to samo pełni niepokoju — artyści przywiązują stosunkowo małą wagę do swojej własnej teorii, do której jeszcze się nie uciekają, by wesprzeć swoje dzieła. Ale skoro werdykt zbiorowości uzna, a później usankcjonuje ich osiągnięcia, natychmiast zaczynają szukać wyczerpującej teorii, swojej teorii, która by wyjaśniała (w rzeczywistości a posteriori, ale tego się nie mówi) genezę ich sposobu ekspresji, wytłoczyła (a posteriori) kolejne jej postacie, a także określiła (a posteriori) jej granice. Ale z tą chwilą niepokój ustępuje miejsca przekonaniu o własnym dobrym smaku, twórczość — zadowoleniu, przynosi u kresu nocy — komfortowemu piedestałowi. Ani kwiatów, ani wieńców i szczere wyrazy współczucia.

STERPINI: Twórczość mistrzów sztuki abstrakcyjnej z całą pewnością doprowadziła do nowej wizji świata, wolnej od tradycyjnych przesądów, opartej na całkowitej moralnej i osobistej odpowiedzialności artysty, nie usankcjonowanej przez przeszłość. Działalność ta wykazała nieskończone możliwości sztuki i ukazała głębszy sens wolności człowieka.



FILM

„Anaconda” (tyt. polski „Wyprowadza nad Amazonkę”) film-historia wyprawy do najmniej zbadanego na świecie dorzecza Amazonki. Produkcja Nordisk Tonefilm, Szwecja.

Wielka zielona plama na mapie Ameryki Południowej, potężny łańcuch górski, dziewicza puszcza kryjąca świat dzików przyrody i dostępnych zasadzek; tędy prowadził swą naukową ekspedycję Szwed, Rolf Blomberg. Przed wyruszeniem, w stolicy Kolumbii Bogocie, rozmawiano o potężnym wężu anaconda, mieszkającym gdzieś nad Amazonką, lecz którego dokładnego adresu nikt z członków wyprawy nie znał. Z nadzieją na spotkanie i schwytanie anacondy pokonują tysiące kilometrów i przeszkód.

Spotykają żuki uzbrojone jak nosorożce, wędrujące liście, kaktusy zmieniające się w barwne motyle i zjadliwe tarantule.

W mętnej wodzie grasują groźne i napastliwe „piranie” — wystarczy

minuta, aby obrany z mięśni człowiek stał się szkieletem — ryby koczujące i elektryczne węgorze o napięciu do pięciuset volt.

Doświadczeni mieszkańcy dżungli nie wchodzi do wody. Po przebyciu setek kilometrów Putamajo i San Miguel, napotkano pierwszych ludzi, Indian ze szczepu Kofani, przy któ-

wnik wyprawy Rolf. Nie ma tylko anacondy. W poszukiwaniu za potężnym, czujnym i niebezpiecznym wężem wyprawa przeżywa pasjonującą przygodę. W nocnej podróży rzeką, spotkano wielkie jak kajak kajmany o zębach niemięjszych od tych, jakie prezentuje ich afrykański krewniak — krokodyl. Noc-

WYPRAWA NAUKOWA po najgroźniejszego węża

rych pomocy wyprawa dociera do Santa Rosa de Sukumbrio, gdzie zakłada bazę.

Zbiory naukowców powiększają się. Jest już w nich największy ślimak świata, jest żółw bagieny i leśny, jest olbrzymia żaba „Bufo Blombergi”, którą dawniej odkrył i nazwał swoim nazwiskiem kiero-

ne polowanie przy świetle lamp oślepiających potwory i... spętane powrozami kajmany na zawsze zegnają się z wolnością.

I wreszcie krzyk — anaconda! Cel wyprawy osiągnięty, gdyż największy z dotychczas schwytanych węzów opuszcza rodzinne dorzecza Amazonki w klatce.



MUZYKA

Dyplomanci, myślcie o przyszłości!

W czwartku, sale Filharmonii uczącej — jak zwykle — gościny dyplomantom wyższych szkół muzycznych i — wskutek tego — w czwartku panuje w tychże salach muzyka ograna, repertuar zastawiony tradycyjnie i banalnie. Dyplomanci starzy zwyczajem grywają Czajkowskiego, Beethovena i Liszta, co niestety — naszym zdaniem nie rokuje im zbyt dużych nadziei na znalezienie się na estradach owych filharmonii ponownie — już w charakterze prawdziwych, „pełnopłatnych“ solistów.

Naturalnie rozumiemy, że młodzież musi się uczyć na klasykach, że musi mieć opanowany repertuar tzw. żelazny, podstawowy. To jasne — i mówiąc ściślej, nie o ten jeden koncert dyplomowy nam chodzi. Chodzi po prostu o to, że poza tym właśnie, „żelaznym“ repertuarem, nasi dyplomanci wynoszą na ogół z PWSM niewiele więcej (w sensie programowym). Ze po iluś tam latach nauki, są skrzypkami czy pianistami o programie i niezbyt wielkim i niezbyt ciekawym dla dyrektorów filharmonii.

Pomyślmy: do dyrekcji filharmonii wpływają (a przynajmniej powinny wpływać) na początku sezonu zestawy repertuarowe nadsyłane przez poszczególnych solistów. I jeśli, w którejś filharmonii projektuje się np. na ów sezon Wariacje Franciska, a Wariacje te są do wyboru w wykonaniu Sztompki i dyplomanta nieznanego jakości, to — rzecz to zupełnie normalna i zrozumiała — dyrekcja naturalnie wybiera Sztompkę. I jakie szanse ma wówczas ów młody solista? Minimalne. Gdy natomiast dyplomant pośle w swym zestawie repertuarowym choćby stare jak świat Concertino Honeggera, to posiada niemal pewność, iż zostanie zaangażowany. A przecież ten pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy!

Dyplomanci, myślcie o swej przyszłości! Nie pozwalajcie, aby profesorowie przygotowywali z wami tylko taki repertuar, który sami mają opanowany. Z tym bowiem daleko nie zajdziecie...

O przyglądaniu się

Ze słuszną a stanowczą odprawą recenzenta „Dziennika Polskiego“ spotkały się wywody Bronisława Rutkowskiego w 1 numerze „Ruchu muzycznego“. Rutkowski napisał m. in.: „Od wielu lat beztrudnie przyglądamy się śmiałym, a właściwie niepoczytalnym harcom tzw. sprawozdawców muzycznych w naszej prasie codziennej... Im większa jest ignorancja muzyczna tych „krytyków“, tym większy tupet w ferowaniu wyroków artystycznych z każdej dziedziny muzycznej“.

Nasza krytyka muzyczna ma nie raz rzeczywiste skandaliczne braki. Trzeba o niej pisać, trzeba ją ostro chłostać, rzecz tylko w tym, kto powinien to robić. Bo chyba absolutnie nie ci, którzy zamiast zaradzić temu stanowi rzeczy, „od wielu lat beztrudnie się przyglądali“. I żeby to tylko się przyglądali! Gorzej jeśli w tym czasie prowadzili np. wyższe szkoły muzyczne, wypuszczając z nich takich właśnie krytyków, lub równie „beztrudnie“ prowadzili poważne placówki koncertowe.

Co to tam było napisane? Że... „tym większy tupet“?

Ostrożnie z zakładem nagrań

Nasza jedyna wytwórnia płyt (nikt nie ma pojęcia jak się to właściwie nazywa, czy „Muza“ czy jakoś inaczej), nie może zapewne znaleźć czasu na produkowanie dobrych, wartościowych płyt, bo załamuje się procesowaniem, wydawnictwami, którzy ośmielają się nie dość życzliwie o tej wytwórni informować... Ponieważ zaś notatek tego typu jest w prasie istotnie dość wiele, więc sami rozumiecie — ktoś tam ma głowę do zajmowania się życzeniami czy pytaniami klientów...

Przedziwna to instytucja. O sytuacji na naszym rynku płytowym nie możemy jednak napisać to co byśmy chcieli, bo — my nie mamy czasu na procesy...

Postulujemy: III Międzynarodowe Targi Księgarskie w Krakowie

Od dwóch lat ma w Poznaniu miejsce impreza handlowa, która swym zasięgiem, rozmachem, zainteresowaniem zagranicą, niewątpliwie odbiła się szerokim echem w społeczeństwie — gdyby nie okres w jakim się odbywa. Ta impreza, to Międzynarodowe Targi Księgarskie. Zorganizowane po raz pierwszy w roku ubiegłym i pomyślane, jako w pewnym sensie uzupełnienie, rodzaj przybudówek Targów Poznańskich, urosły niespodziewanie, nawet dla pierwszych ich organizatorów do rangi wydarzenia europejskiej wagi.

W ub. roku w Targach Księgarskich w Poznaniu brało udział 19 wystawców reprezentujących 500 firm wydawniczych. Ekspozycja wówczas 12 tys. książek.

W roku bieżącym do Poznania przybyło 39 wystawców, z 17 krajów reprezentujących 750 firm wydawniczych. Wystawiono 29 tysięcy książek. Impreza poznańska stała się drugimi po Frankfurtu Targami Księgarskimi w Europie. Przeciwniejszy Lipsk, w którym na Targach Księgarskich reprezentowanych było 14 krajów. To zobowiązuje i to każe już dziś poważnie zastanowić się nad organizacją przyszłorocznych Targów Księgarskich. Nie ulega wątpliwości, że ekspozycja książki musi być wyodrębniona z Targów Poznańskich, które z natury rzeczy spychają ją na bardzo odległy plan. Targi Poznańskie, to przede wszystkim, żeby nie powiedzieć wyłącznie, przemysł. A poznańska ekspozycja książki w wydaniu 1957 to już nie skromna wystawa z roku ubiegłego, ulokowana w niewielkim skromnym pawilonie, to poważna impreza handlowa.

Koncepcja wyodrębnienia Targów Księgarskich trafiła zatem bez trudu na podatny grunt. Nie ma jeszcze ostatecznej decyzji w tej sprawie, proponowane są różne sposoby rozwiązania. To, co wydaje się już dziś pewne, to sugestia, aby Targi Księgarskie były imprezą poprzedzającą właściwie Targi Poznańskie, by odbywały się na tydzień, 10 dni przed otwarciem w Poznaniu wielkiego spotkania handlu wschodniego z zachodnim. Przypadłby więc termin Targów Księ-

garskich na koniec maja, początek czerwca (datę rozpoczęcia przyszłorocznych Targów Poznańskich ustalono na 8 czerwca). Podkreślamy specjalnie ten moment — jest on bowiem istotny w dalszych naszych rozważaniach.

Byliśmy na Targach Księgarskich w Poznaniu, rozmawialiśmy z ich organizatorami, z wystawcami, z przedstawicielami polskich i zagranicznych firm wydawniczych. Są dwie propozycje ulokowania Targów Księgarskich. Jedna to pozostawienie ich w Poznaniu, druga to przeniesienie Targów do Warszawy i zorganizowanie ich w Pałacu Kultury i Nauki. Spór jest dość ostry, a szanse wydają się być podzielone mniej więcej po połowie. Jeśli bowiem Poznań wysuwa argument ciągłości tradycji Targów, Warszawa ma za sobą tzw. poparcie tzw. czynników. Wiadomo — stolica.

Gdzie się dwóch bije tam... Tak, tak, proszę państwa, my proponujemy trzecie rozwiązanie, które w tym warszawsko-poznańskim sporze może i powinno okazać się owym przysłowiowym złotym środkiem. Postulujemy: III Międzynarodowe Targi Księgarskie powinny się odbyć w Krakowie.

To prawda, że Kraków nie ma nowych tradycji targowych, choć można byłoby przytoczyć niemało historycznych dowodów, prężności handlowej podwawelskiego grodu. Ale, pewnikiem jest, że miasto nasze posiada piękne i bogate tradycje umiłowania książki, że jest Kraków poważnym ośrodkiem wydawniczym, że był kolebką polskiej sztuki drukarskiej, a do dziś stanowi jedno z centrum naszego drukarstwa.

Ktoś powie Warszawa ma Pałac Kultury i Nauki, Poznań posiada pawilony targowe, a Kraków?

My odpowiadamy, Kraków ma Sukiennice, Kraków ma najpiękniejszy Rynek w Europie. Czyż można wyobrazić sobie odpowiedniejszą oprawę Księgarskich Targów, niż Sukiennice, (może wreszcie popchnięto by na przód ich odbudowę) niż stare zabudowania sklepów na Rynku? Najlepsze, najpiękniejsze miejsca dla książkowej ekspozycji, znajdują się właśnie w Krakowie.

Wracamy do momentu, któryśmy w poprzedniej części naszych rozważań specjalnie podkreślili, do okresu, w którym proponuje

się organizację Targów Księgarskich. Byłby to początek czerwca, a więc rozpoczęcie imprezy zgłoby się z inauguracją Dni Krakowa. Kupcy zagraniczni, turyści mieliby dodatkowe atrakcje. A miasto, a krakowianie — dodatkowe dochody. Bo każde targi, to zysk dla mieszkańców targowego miasta, nie tylko moralny, ale i w dużym stopniu ekonomiczny. Ktoś obliczył, że dochody mieszkańców Poznania w okresie Targów wzrastają o około 25 milionów złotych. Każdy turysta zagraniczny przywozi z sobą pieniądze. I te pieniądze zostawia w mieście do którego przyjechał. To truizm, ale być może ten właśnie argument zadecyduje o inicjatywie ojców naszego miasta. Bo Targi Księgarskie z nieba nie spadną, o tę imprezę trzeba walczyć i nie ukrywajmy walczyć mocno. Konkurencja silna choć argumenty przemawiające za naszym miastem, bynajmniej nie blade. A zatem czołgoda krakowska Rada Narodowa, towarzyszu Mrugacz — od jutra stawajmy w szranki do boju o przyznanie Krakowowi organizacji III Międzynarodowych Targów Księgarskich. „Zdarzenia“, (a chyba i cała prasa krakowska) odda Wam do dyspozycji wszystkie swoje środki. Sprawa jest do wygrania.

ZBIGNIEW ĆWIK
ANDRZEJ WOŹNIAK

A woda płynie...

Statystyka informuje w sposób suchy i beznamiętny: rok 1953 — 19.343 zabitych, ciężko rannych, pokaleczonych, rok 1954 — 20.586, rok 1955 — 23.017, rok 1956 — 27.194. Pomyślcie sobie, to zapewne statystyka ilustrująca straty w walkach kolonialnych toczonych przez któreś z wielkich mocarstw zachodnich, może tu chodzi o Malaję, o Kenię, albo Alger?

Tak, tak zwykle szukamy daleko tego, co znajduje się tuż koło nas. Tu nie chodzi o Malaję, Kenię, ani o żaden Alger, ani też o nic w tym rodzaju. Tu chodzi o Polskę. Tak, niestety, o Polskę. Przytoczone co dopiero cyfry, to cyfry wypadków przy pracy jakim ulegają u nas, tysiące ludzi rocznie. I co gorsza to cyfry rosnące z roku na rok. Wynika z nich, że w tym roku „jak dobrze pójdzie“ dojdziemy do 30 tys.

Co drugi dzień ginie ktoś u nas na budowach. Zabici i ranni zda-

rzają się nawet i to często w tak pozornie bezpiecznych miejscach pracy jak w PGR. Ile w tym lekomyślności, ile pogardy dla ludzkiego życia? Ale nie tylko tego. Sprawcą przeszło 50 proc. wypadków jest alkohol. Znakiem współgryzą u nas ze sobą rosnące cyfry spożycia wódki i cyfry wypadków. Wiadomo przecież, że jeśli chodzi o to spożycie potroiło się ono obecnie w porównaniu z okresem przedwojennym. Nie uchodzi to bezkarnie. Miliony litrów „spożywanej“ wódki przez naszych obywateli są wciąż silniejsze od milionów, ba, miliardów złotych przeznaczanych przez państwo na bezpieczeństwo i higienę pracy. W roku 1956 wydaliśmy na ten cel 3.720 mil. zł. Z roku na rok wydajemy coraz więcej. A ofiary w ludziach mimo to rosną.

Piszemy wiele, że ludzkości zagraża coraz bardziej pył radioaktywny pochodzący z wybuchów atomowych. Nasuwa się pytanie czy przypadkiem nam Polakom w równym stopniu nie zagraża także... alkohol? Czy cyfra prawie 30 tys. ofiar jaką pochłania u nas obecnie tylko praca nie mówiąc o wypadkach drogowych nie wskazuje również na zjawisko apokaliptycznych rozmiarów? Najgorsze jednak jest nie samo zjawisko ale fakt, że wciąż beztrudnie przechodzimy nad nim do porządku dziennego. Ze tysiące zabitych, rannych i kalek nie wstrząsają sumieniami i umysłami naszych działaczy gospodarczych. Ze nie powodują dostatecznie radykalnych sankcji w stosunku do wszystkich ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za fatalne warunki bezpieczeństwa pracy w naszym przemyśle. Wiele się u nas mówi teraz o tym, że trzeba karać ostro chuliganów, spekulantów. Właściwie w równym stopniu powinno to dotyczyć rozmaitych szacownych dyrektorów i wielkich urzędników, którzy jakkolwiek nie spalili się kradzieżą, ani też nie są notowani jako chuligani, mimo to niejedną tragedię ludzką mają na sumieniu. Czas by ich również dosięgło ramię sprawiedliwości.

*
Alkohol pomimo wszystko bezosobowy sprawca nieszczęść, ale sprawców nieszczęść o konkretnych imionach i nazwiskach znałoby by się również niemało gdyby tylko zadać sobie trud ich wyszukania.

B. M.

TEATR

NOWE PREMIERY TEATRÓW KRAKOWSKICH

Zespoły teatrów krakowskich znajdują się w okresie gorączkowych prób nad nowymi premierami, które ukażą się jeszcze w okresie przedwakacyjnym, to znaczy w czerwcu i lipcu. I tak, Teatr Stary przygotowuje aż trzy premiery: „Cyda“ Corneille-Wyspiańskiego w reżyserii Romana Zawistowskiego i scenografii Wiesława Langego, „Czarującą szewcową“ Garcii Lorki w inscenizacji i oprawie plastycznej Tadeusza Kantora oraz „Krzesła“ E. Ionesco w dwuosobowej reżyserii p. p. Zofii Mianowskiej i Jerzego

Grotowskiego w oprawie plastycznej Wojciecha Krakowskiego.

Teatr Słowackiego w najbliższym czasie wystawi napręmię sztuki Jerzego Zawieyskiego „Sokrates“ w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego i oprawie plastycznej Mariana Warzechy.

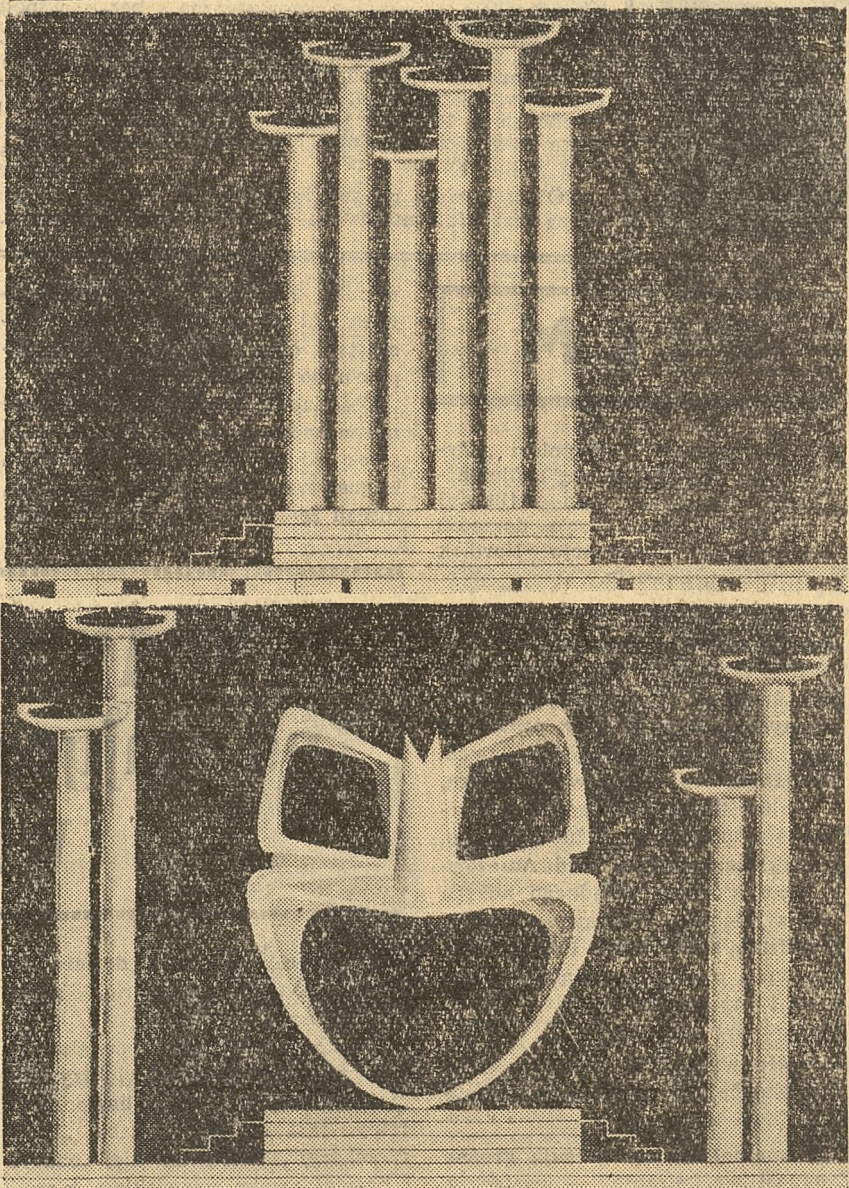
Ponadto w Operze Krakowskiej trwają próby nad „Cyrylikiem sewilskim“. Reżyseruje Antoni Wolak. Oprawę plastyczną zaprojektował Wojciech Krakowski.

Premiery, które w niedługim czasie będziemy mogli zobaczyć na scenach krakowskich, zasługują na uwagę z wielu względów. Po pierwsze, fakt powierzenia reżyserii „Czarującej szewcowej“ Kantorowi na scenie teatru tzw. oficjalnego zapowiada odświeżenie i wzbogacenie środków artystycznych, jakimi dotychczas wspomniane teatry dysponowały. (Dowodem na to świetny spektakl „Szewcowej“ Kanta w Katowicach oglądany dwa lata temu).

Po drugie umożliwienie debiutu scenograficznego Marianowi Warzesze na scenie Teatru Słowackiego jest przykładem zaufania dla „młodych“, co w środowisku krakowskim, należy do rzadkości.

Po trzecie de'int absolwentów WST wydziału reżyserskiego „Krzesłami“ ukazuje słuszną politykę artystyczną dyrekcji Teatru Starego, która dla możliwości zrobienia warsztatu reżyserskiego w Krakowie, a nie gdzieś na głuchej prowincji.

Projekty dekoracji MARIA-
NA WARZECHY do sztuki
„Sokrates“ Jerzego Zawieyskiego



Fakty ★ Plotki ★ Fakty ★ Plotki

PIEKIELNY TRÓJKĄT

W miejscowości Mexicali w Meksyku policja aresztowała niejakiego Pedro Maldona de Valdez za kradzież spodni z pralni chemicznej. Valdez oddał ukradzione spodnie swemu przyjacielowi, który natychmiast zaniósł je do owej pralni aby mu je wyprasowała.

METODA LECZENIA

Pani Lucy Wireman ze stanu Michigan w USA została oskarżona o usiłowanie otrucia swego męża. Na policji zaprzeczyła oskarżeniu, wyjaśniając, że dodawała do piwa swego męża truciznę na szczury, pragnąc w ten sposób oduczyć go picia.

NASZE REKORDY

Jak doniosło onegdaj „Echo Krakowa” naprawa ściany basenu pływackiego „Cracowii” trwać będzie „jak dobrze pójdzie do roku 1960”.

WYCIECZKI HELIKOPTERAMI

Nie u nas, oczywiście, lecz w Belgii organizują Światowe Linie Lotnicze Sabena. Cel — zwiedzanie Francji. Każda wycieczka trwać będzie 9 godzin, helikoptery lądować będą u stóp zamków nad Loarą. Uczestnicy wycieczek zwiedzać będą stare zamczyska. Cena takiej podróży: 17 dolarów.

BYŁE PRZEDZĘ

10-cio procentową obniżkę ceny obuwia damskiego zapowiada jeden ze znanych sztokholmskich sklepów. Warunek: wybór pary bucików nie może trwać dłużej niż 10 minut.

SPRZEDAWAŁ RATUSZ

Niejakiego Stanisława Witczaków sprzedawał wrocławski ratusz 20 „klientom”. Wyjaśnił im mianowicie że władze zamierzają ratusz rozbić, a on będzie dysponował częścią z tej rozbiórki. Podobno usprawiedliwiał się że sprzedawał cegły a nie budynki.

RABAT

Pewien znany handlarz starych samochodów w stanie Indiana ogłosił

ostatnio, że udziela 10 — dolarowej obniżki ceny samochodu za każde dziecko swego klienta. Na drugi dzień po ukazaniu się tego ogłoszenia do firmy przyszedł pan William Clark zażądał maszyny za sto dolarów, a gdy mu ją zaprezentowano kazał wejść do sklepu swoim dziesięciorgu dzieciom. Cała rodzinka wsiadła do samochodu i odjechała do domu nie zapłaciwszy ani centa.

CZY SŁUSZNIE

Po katastrofie kolejowej na Grzegórkach w Krakowie, która spowodowała śmierć 5-ciu osób, jadących na stopniach i w przepełnionym korytarzyku, władze zamierzają bardzo ostro karać obywateli łamiących przepisy — to znaczy karać tych wszystkich, którzy wąż się jechać na stopniach, lub na zderzakach. Czyżby ktoś przypuszczał że ludzie umyślnie ryzykują życie? Przecież musi się dojechać z domu do pracy i z pracy do domu, a na ogół pociągi, tramwaje i autobusy są przepełnione. A więc jaka rada? Zwiększyć ilość środków komunikacyjnych. A dopiero potem karać niesfornych pasażerów.

PAMIĄTKOWY BUCIK

Sławny pieśniarz Tino Rossi otrzymał niedawno pakunek zawierający męski póżucik. Do pakietu dołączony był list: „Moja mama była przed 20 laty pana gorącą wielbicieleką. Udało jej się wówczas zdobyć pański bucik, który przechowywała jako cenną pamiątkę. Obecnie, po jej śmierci, zwracam go panu”.

BURLACY

1500 studentów francuskich, skandując na melodię „Burlaków znad Wołgi” słowa „Jesteśmy głodni”, urządziło manifestację w Paryżu protestującą przeciw zamknięciu studenckiej jadłodajni. W wyniku zajść 40 studentów i 11 policjantów jest rannych.

PRZEWIDUJĄCA

W pewnym banku w Pittsburgu główna księgowa zdefraudowała łącznie 17.000 dolarów, z których 4500 zainwestowała w akcje tego samego banku.

TELEWIZORY

W więzieniu St. Antoni więźniowie urządzili jednogodzinny strajk, połączony z ogólnym wybijaniem szyb i niszczeniem instalacji. Zanim jednak zabrali się do „rozróbki”, pieczętowanie zabezpieczyli kocami swoje... telewizory.

NIC NIE WIE

Rachela Mussolini, wdowa po dyktatorze, odmówiła wystąpienia jako świadek w procesie o milionowy majątek, który Mussolini w godzinie śmierci miał przy sobie. Oświadczyła ona sądowi, że o żadnym spadku nie wie, a obawia się, że ta sprawa zaszkodziłaby tylko jej i tak mocno nadszarpniętemu zdrowiu.

ZAPOMNIANY BACH

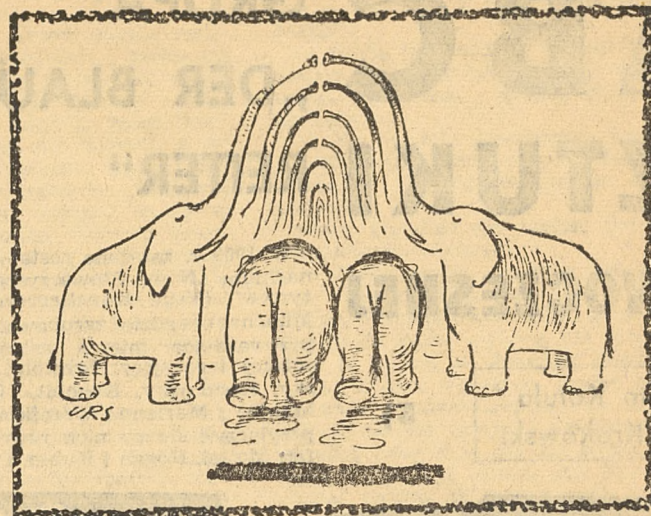
W jednym z miast NRF zorganizowano niedawno wieczór poświęcony twórczości wielkiego niemieckiego kompozytora Jana Sebastiana Bacha oraz jego synów.

Na koncercie, w czasie którego wykonano utwory Jana Sebastiana Bacha, Jana Krystiana Bacha oraz Karola Filipa Emanuela Bacha, obecna była żona pewnego dyplomaty amerykańskiego, która po skończonym koncercie zauważyła:

— A o jednym Bachu, mimo wszystko, zapomniano.
— O którym?
— Offenbachu.

KIESZONKOWA OPERA

Francuski kompozytor Marcel Landowski (nie jest krewnym klawesynistki Wandy Landowskiej) postanowił udostępnić francuskiej prowincji dobrą operę. Jego objazdowy zespół, w iście kieszonkowej formie, składa się z 3 śpiewaków, i tancerza, 1 zapowiadającego i szczerą, pełniącego równocześnie funkcję elektryka. Mieści się on wraz



Ślub słoni

ze skromnymi dekoracjami i niezbędną aparaturą elektryczną w zwykłym autobusie. Ustawienie dekoracji i założenie instalacji jest kwestią godziny. Orkiestrę zastępuje znakomite nagrania na taśmie.

Oczywiście repertuar jest dostosowany do tych szczególnych warunków; dużym powodzeniem cieszy się opera samego Landowskiego: „Brzechomówca”, będąca historią brzechomówcy, dręczonego przez dwie kukły, uosobnienie miłości i nienawiści. Śpiewakom towarzyszy orkiestra z taśmy, a nieuniknione „dziury” łąta fortepian. Inna opera z ich repertuaru „Telefon” — Gian Carlo Menottiego posługuje się wyłącznie fortepianowym akompaniamentem.

Tego rodzaju technika nastrocza wprawdzie wykonawcom pewne trudności np. z synchronizacją głosu z orkiestrą, Landowski jednak uważa, że publiczność chętnie wybaczę te usterki wzamian za naprawdę dobrą operę, która w innej formie nigdy by nie dotarła do zapomnianych zakątków prowincji. Entuzjastyczne przyjęcie z jakim się wszędzie spotyka, w zupełności potwierdza ten optymizm.

Krytycy są zdania, że w ten sposób opera może sobie z powrotem zdobyć publiczność.

LITERACKI ANONIM

Anglicy żyją w obecnej chwili pod znakiem ostatniej nowości — anonimowego arcydzieła literackiego pt.: „Madame Solario”.

Książka ta, której autor jest nieznanym — co najważniejsze — chce nim pozostać, wywiera fascynujący urok na czytelników, a tym bardziej na krytyków, którzy chcieliby rozwiązać zagadkę zwłaszcza, że książka odznacza się zaletami sztuki piśarskiej wysokiej klasy.

Powieść jest pełna łagodnej melancholii, a mimo to dramatyczna i dynamiczna. Nadzwyczaj udane opisy natury stanowią uzupełnienie i prowadzenie, czy też kontynuację stanów psychicznych bohaterów powieści. Język jej jest natrwały, choć starannie wypracowany. Styl nieosobisty, nie pozwalający przypisać autorstwa żadnemu ze znanych współczesnych pisarzy angielskich. Dużo przemawia za tym, że autorem może być kobieta, choć również i żadnej powieściopisarki nie odpowiada rodzaj talentu ujawnionego w „Madame Solario”.

Z drugiej zaś strony technika, konstrukcja, rytm, psychologia tej książki każą myśleć o bardzo wytrawnym piórze.

Krytyka angielska uznała „Madame Solario” za ewenement literacki o wyjątkowym znaczeniu.

WIŚLANI SAMOBÓJCY

REPORTAŻ

Szukanie śmierci w nurtach Wiśły ma swoje tradycje sięgające zamierzchłych, legendarnych czasów. Już Wanda (ta, co nie chciała Niemca) skoczyła do Wiśły w celach samobójczych. Do dziś znajduje niestety licznych naśladowców.

ZDARZENIA

Płyniemy z ratownikiem w wąziutkiej łódce po rzece srebrzącej się w czerwcowym słońcu, po rzece łagodnej i cichej, która wydawała wiele istnień ludzkich. Wiele topi się co roku, ponad 40 w ciągu swej 6-letniej służby wyratował Paweł Gut.

— Najwięcej wypadków zdarza się w okolicy Wawelu i przy mostach, a „sezon” trwa właściwie cały rok.

To było jakoś z wiosną, woda głęboka, wartka. Pod wieczór przylazła do mnie. „We Wiśle utopiła się dziewczyna!” Nie ma rady, trzeba było po nocy wyjeżdżać. Szukaliśmy parę godzin, prąd łódką kręcił jak łupiną; a tam, pod spodem, wiesz, że na dnie leży dziewczyna. Wiatr falę podnosi, latarki przysagają. Ciężko jest w nocy na rzece szukać. Wreszcie trafiliśmy na ciało. Zanurkowałem. Ciągnę na brzeg topielicę. Długie włosy rozplotły się. Taka młoda jeszcze i po coś rzucała się w odmęt.

Luty. Przez most Dębicki idzie staruszek. Gdy jest w połowie, przełazi niegrabnie przez balustradę i rzuca się z 20-metrowej wysokości w lodowatą przepaść. Po powrocie ze szpitala nie chciał być ciężarem dla syna. Chciał go uwolnić od kłopotów — od siebie. Nie powiodło mu się. Został wyciągnięty na brzeg, cały i zdrowy.

25 marzec. Wiślanym wałem biegnie ku rzece Anna D. Doświadczenie w ostatniej chwili zatrzymuje ją patrol z posterunku wodnego MO. Być może uniknęła śmierci.

Nie uniknął jej Franciszek Z. Filary rozebranego starego mostu przez kilka dni ukrywały topielca. Dochodzenie wykazało — miał żonę i dwoje dzieci. Miał też kochankę. Gdy i ta zaszła w ciążę, uważał, że jedynym, najlepszym wyjściem jest skok w głębinę, z której się nie wraca.

Kobieta po przebytej gruźlicy z nogą w gipsie postanowiła odebrać sobie życie. Rzuca się w rzeczny wir, skąd wyciąga ją pewna dłoń ratownika.

— Kasjera z Bydgoszczy wyciągnąłem już nieżywego. Później jeszcze trzeba było kilkakrotnie nurkować po teczkę z papierami — wspomina Gut.

Nikt się nie dowiódł, dlaczego ten człowiek szukał śmierci w obcym mieście, dlaczego wybrał Wiśle.

GŁOS MAJA NIEDOSZLI TOPIELCY

W ubiegłym roku chciałem uczynić to głupstwo. Narzeczona — jak się to mówi — puściła mnie kantem. Bardzo byłem w niej zakochany. Dzisiaj wydaje mi się to śmieszne, ale wtedy zdawało się, że nie potrafię bez niej żyć. Wypitem z kolegami i poszedłem się utopić we Wiśle. Wyratowali mnie skończyli się na lekkim przeziębieniu.

— A ile pan ma lat?
— Trzydzieści dwa.

Krysia D. ma dopiero 16 lat i bardzo się wstydyła swojej lekkomyślności. Wychowawczynie kilka razy widziała ją z chłopcem, zwracała uwagę. Dziewczynka bała się, że o wszystkim dowie się ojciec. Zamiast

Pewne światło na cały problem rzuca następujący fakt. Dziewczyna w pierwszej chwili — jak mówi — chciała popełnić samobójstwo za miastem, na bezludziu, ale rozmyśliła się. Skoczyła pod Wawelem, z brzegu, na którym opalało się sporo ludzi.



Fot. A. Piotrowski

do szkoły poszła nad Wiśle i wskoczyła do wody. Chwilę płynęła, ale gdy ubranie nasiąkło, zaczęła się topić. Przypada, że nie bardzo zastanawiała się nad tym, co robi. Ona nie myślała, ona bała się ojca. A przecież nic takiego nie zrobiła, żeby trzeba było szukać ratunku na wiślanym dnie. Nie można tego desperackiego kroku przypisać ani złej literaturze, ani złemu otoczeniu. Więc dlaczego?

Szantaż samobójstwem. Coraz częściej spotyka się go wśród młodzieży, zwłaszcza szkolnej. — Jeżeli mnie obelżył popełnię samobójstwo — grozi profesorom 8-klasista. — Jeżeli doniesiecie rodzicom, że późno wracam do internatu — utopię się — zapowiada wychowawczyni 15-latka. Wychowawcy sygnalizują — szantaż samobójstwem staje się modny.

MÓWI RATOWNIK WIŚLANY — PAWEŁ GUT

Wypadki zdarzają się przeważnie w dzień, chociaż kilkakrotnie wyjeżdżam i nocą. W ciągu tych sześciu lat nie jeden samobójca wskakiwał do wody. Zawsze w ostatniej chwili woła o ratunek. Walczy rozpaczliwie o życie, może być nawet niebezpieczny przy ratowaniu. A później nie wie, jak dziękować i bardzo się wstydy swego czynu. Taki to ma już wstręt do rzeki na całe życie.

MÓWI KOMENDANT POSTERUNKU WODNEGO CHOR. HENRYK JANIŁ

W tym roku przeszło 80 procent wypadków na Wiśle to samobójstwa. Większość stanowią mężczyźni w średnim wieku. Ostatnio zostaliśmy wyposażeni w lepszy sprzęt. Możemy skutecznie patrolować rzekę i w razie potrzeby interweniować. Nasilenie wypadków wzrasta w okresie letnim. Samobójcy skaczą z reguły w dzień i to w miejscach widocznych, ludnych.

Widocznie wielu z nich liczy na szanse wyratowania. A efekt bądź co bądź jest — topi się w Wiśle — z miłości, z rozpacz, ze strachu. Igrają ze śmiercią, bo Wiśla mimo pozorów jest bardzo zdradliwa. Szantaż często kończy się tragicznie. Oczywiście są i samobójcy zagorza- li. Chwila rozpacz mać im umysł, szukają ratunku w głębinach rzeki. Nad tymi czuwają patroly wodne i ratownicy, w imieniu których Paweł Gut przyrzekł przewodniczącemu miasta Krakowa:

— Choćby i kto z własnej ochoty chciał się utopić, nie dam, za łeb wyciągnę z wody. Po to przecież tu jestem, ze swoją łódeczką-pychówką.

JACEK ŻUKOWSKI

ABC GRUPA SZTUKI „DER BLAUE REITER“

NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

5)

W 1909 r. założone zostało w Monachium „Nowe Stowarzyszenie Artystów“ (Neue Künstlervereinigung München), gdzie zgrupowali się w przeważającej mierze artyści niemieccy i rosyjscy: Erbslöh, Jawlensky, Kandinsky, Kaulsd, Gabriele Münter i Marianna Werefkin. Potem przyłączyli się do nich również Hoffer, Moissi, Kogan i Kubin. Poza tym



FRANC MARC: KONIE 1912

w II wystawie Stowarzyszenia w 1910 r. wzięli udział Braque, Derain, Picasso, Rouault i Vlaminck. W 1911 r., wskutek różnic poglądów co do wyboru obrazów na III wystawę, Kandinsky, Kubin, Marc i Gabriele Münter opuszczają Neue Künstlervereinigung, po czym Kandinsky i F. Marc otwierają 18 grudnia tegoż roku w galerii Tannhauser pierwszą wystawę zespołu redakcyjnego książki pt. „Der blaue Reiter“, obszernej publikacji o nowatorskiej sztuce Europy, wydanej w 1912 r. przez wydawnictwo Piper w Monachium. Tytuł książki staje się szyldem dla nowego ugrupowania artystycznego, do którego należeli obok Kandinskiego i Marca — Heinrich Campendonck, August Macke, Alexej Jawlensky, Paul Klee i inni.

Der blaue Reiter stanowi przejście od malarstwa ekspresjonistycznego do sztuki bezprzedmiotowej, której program właściwie po raz pierwszy ujął Kandinsky w swojej książce „Über das Geistige in der Kunst“ (O pierwiastku duchowym w sztuce) napisanej w 1910, wydanej w 1912 r.

W pierwszej, jeszcze ekspresjonistycznej fazie, reprezentowanej naj-

dobniej przez twórczość F. Marca, cechuje artystów monachijskich w odróżnieniu od grupy Die Brücke pewien romantyczny koloryzm, będący wynikiem bogatej miejscowej tradycji malarskiej, opartej z jednej strony o akademicki realizm, z drugiej o importowany z Francji impresjonizm.

Przy niewątpliwym subiektywizmie tak bardzo istotnym dla młodej grupy monachijskiej, jedno było wspólne: proklamacja czystego, wyrafinowanego koloru jako środka woli twórczej artysty. Ich poszukiwania, szły w kierunku psychicznego pogłębienia treści obrazu poprzez intensyfikację i zestawianie wysmakowanych barw, poprzez jasność i pogodę wyszukanej skali kolorystycznej, wspomóżonej udziałem innych asocjacji, np. muzycznych (synestezja).

Dążąc do pogłębienia duchowych treści obrazu i jego halucynacyjnego bogactwa wypowiadali walkę klasycznej statyczności płótna, układnym rozwiązaniom kontrolowanym przez rozsądek. Artysta nie miał być już organizatorem malarskiego przedstawienia, ale jedynie medium dla

rozgrywających się w nim wizji. U artystów grupy Der blaue Reiter powstaje ostry konflikt z otaczającą i agresywną naturą, co prowokuje ich do poszukiwań „czystego wyrazu, dalekiego od obrazu świata“ (Marc). W praktyce malarskiej wyraża się to odejściem od realizmu, od perspektywy, poprawności anatomicznej, modelunku. „Sztuka jest metafizyczna — powiada Marc — powinna być taka, dopiero teraz może być taka. Sztuka uwolni się od ludzkich dążeń i ludzkiej woli. Nie będziemy już malować lasów czy koni tak jak je widzimy... lecz ich najgłębszą istotę, tkwiącą poza dostrzeganymi przez nas zewnętrznymi pozorami... Cała twórczość artystyczna jest alogiczna. Istnieją formy artystyczne, które są abstrakcyjne... istniały zresztą we wszystkich epokach, ale zawsze były zacierane przez ludzką wiedzę i wolę“.

Artyści grupy Der blaue Reiter silnie nawiązują do niemieckiego romantyzmu, głównie do Ph.O. Rugego, jego nauki o kolorach, o symbolice barw i synestezji. Równocześnie są prekursorami z jednej strony sztuki abstrakcyjnej, z drugiej surrealizmu.



HENRYK CAMPENDONCK:
AKT ZE ZWIERZĘTAMI

OBYCZAJE

Wolterowski Prostaczek wszystkim się dziwił. Gdyby na Ziemi spadł jaki Marsjanin — także mógłby się dziwić, nie narażając się na moje przynajmniej oburzenie. Nie mogą bowiem znieść facetów, którzy w roku 1957 jeszcze potrafili się dziwić czemuśkolwiek. Otwierają gęby i w zachwyceniu powiadają: ach, jakie to straszne! Albo: ach, jakie to wspaniałe! Albo: ach, jakie to ohydne! A tu w Polsce są jeszcze ludziki, które otwierają gęby — w roku (przypominam!) 1957 — kiedy się im uda wyjechać z milicjantami na pokój prostytutki, na odkrywanie melin, na nakrywanie alfonsów. Jeden taki, zapomniałem nazwiska, i może to lepiej dla niego, ostatnio w „Tygodniku Zachodnim“ zaczął łamać ręce nad upadkiem kobiet i mężczyzn, zdaje się w Pile, mieście srodze zniszczonym. Odkrył nieborak żołnierza w łóżu starszawej matki dzieciom, odkrył inną kobiecinę, która załatwiała w gruzach potrzeby dożłazki i szoferów za 20 złotych, potem odkrył jeszcze przybłicę swojej dziecinnej zgola naiwności i po raz nie wiem który wystąpił z propozycją założenia w Polsce państwowego burdelu. To, powiada, rozwiąże sprawę. Ale nie mówi tego wprost, jest na pewno młodzieńki i czysty, powiada, że „nie wie“ czy by to nie było lepsze i czy przypadkiem nie można by w ten sposób. Nie wiem — powiada — ale niech się wypowiedzą inni. Inni zaś już się wypowiadali równie mądrze. Nie wiedzieli a gadałi. Pozwól więc, że sobie na ten temat bez zdziwień — porozumuję.

Otóż istnieje w kodeksie karnym taki paragraf, który obiecuje osobom ułatwiającym lub skłaniającym kobiety do uprawiania nierządu jakiegoś tam kary. Sam nierząd, jako że jest sprzedawaniem własnego ciała, nie jest karalny i słusznie. Nikt nie może mi nie zrobić — jeżeli sobie zapragnę uciąć nogę, chyba, że czyni-

bym to w przeddzień poboru do wojska... Kobieta, która postanowiła zarabiać na życie, czy na sklepik — jak w Niemczech — swoim własnym ciałem, nie może być w żadnym wypadku pociągana do odpowiedzialności. Chyba tylko wtedy, jeżeli się jej udowodni, że wie, iż jest chora, naraża na zachorowanie inne osoby. Skąd inąd zaś wszystkim dorosłym wiadomo, że u kobiet okres wegetacji chorób wenerycznych jest bardzo nieraz długi, że choroby te rozwijają się poza świadomością kobiety. Wtedy nawet tego nie można prostytucie udowodnić, że zarażała świadomie. Zresztą kroniki milicyjne powiadają, że prostytutki są przebieglejsze od MO, że same, bez czekania na przymsusowe doprowadzenie do przychodni venerologicznej — zgłaszają się na badania i w razie obławy przedstawiają świeży papierek zaświadcujący o stanie zdrowia.

Ala nie te sprawy mają być zasadniczym tematem dzisiejszego felietonu. Sprawa domów publicznych nie schodzi z ust co zagorzalszych szerczyeli moralności publicznej i o niej chcę tu mówić.

A więc, proszę Pań i Panów: dom publiczny jest ułatwieniem uprawiania nierządu, za który to proceder kodeks karny PRL i nie tylko PRL przewiduje kary sądowe. Czy Państwo ma zmienić kodeks i napisać w nim, że każda osoba prywatna ułatwiająca nierząd będzie karana, zaś państwo — przeciwnie! — zacznie chodzić w gorliwej dobroczynności (dla przyjezdnych „delegowanych służbowo“, oraz dla samotnych i mało przystojnych?). Polska podpisała międzynarodową konwencję o ochronie praw kobiety i nie pójdzie na zakładanie puffów. Mówię o tym zresztą marginesowo. Bo założmy, że coś tam pokręcono albo przymknęto oczy na rozwijanie się prywatnej inicjatywy w prostytucie oraz ich „mam“ i alfonsów. Cóż się dzieje? Odpowiem słowami pewnej zacnej kobiety, która w pewnym mieście zajmuje się z ramienia MO sprawami prostytutek:

Otóż prostytutka w domu publicznym musi „być na chodzie“, to znaczy mieć odpowiednią prezencję, być młodą i przyciągającą, żeby interes

prosperował na dochodach. Skąd inąd zaś nam wiadomo, że czas płynię, młodość zwłaszcza prostytutek, mija szybko, i wtedy staje przed nami pytanie: co z nimi robić dalej? Wiadomo z góry, że nie porzucą swego procederu, bo popadły w nałóg, że będą uprawiać prostytucję pokątnie, że będą werbować młode dziewczęta i ciągnąć zyski z „opiekowania się“ nimi itd. W ten sposób prostytucja stanie się na jednym skrzydle bardziej salonowa, kulturalna, na drugim zaś będzie pogłębiać proces demoralizacji, będzie wciągać w swoje — wybaczenie górne słowo — ot-

BOHDAN
DROZDOWSKI

SAMI
SOBIE
SIĘ
DZIWCIE!

chłanie coraz to nowe zastępy łasych na pieniądze dziewczątek, które zaczynają zwykle od tego, że zasmakowują w zmianie partnerów, a kończą na kurewstwie bramowym, gruzowym; nieustannie pijane, łatwo zapadające na gruzlice, mszczące się kilką na kolejnych partnerach — za tego, który je nią obdarował. Prostytucja staje się problemem zupełnie nieusuwalnym.

Rozluźnienie tzw. obyczajności wśród młodzieży każde pokolenie starszych się ciot i wujków zauważa na swój własny rachunek. Już starożytni Rzymianie... itd. Ale znowu nie przesadzajmy, i nie gadajmy, że wszystko jest o. k. Wiem, że są dziewczęta, urzędniczki, studentki, pielęgniarki, wyjeżdżające w czasie wakacji i urlopów nad morze, by tam sobie dorobić u marynarzy. Łącząc wtedy przyjemne z pożytecznym, nie widząc w tym nic zdrożnego. Prze-

śpią się z kilkunastoma morskimi wilkami, przywożą masę wspomnień, parę zegarków, dolarków, nylonów i innych dobrych rzeczy. Potem stają się znowu dobrymi urzędniczkami i studentkami — mającymi swoich narzeczonych i adoratorów, których nieraz aż do skrótu kiszek — trzymają od siebie na dystans...

Teraz czekam na pytanie: No więc dobrze, mówisz pan, że prostytucja to fe, że się jej nie da zlikwidować, bo liczy sobie akurat tyle tak ile ludzkość, coż więc pan radzisz?

Myślę, że rada jest tylko jedna: można zmniejszyć ilość zaczynających co roku ten łatwy zrazu proceder — przez otoczenie dziewcząt zaczynających życie samodzielnie z dala od rodzin należyta opieką. Żeby nie było takich wypadków, że 17-letnia dziewczyna błąka o niewypuszczenie jej z aresztu, ponieważ nie ma domu, a koleżanki i alfonsi zmuszą ją na powrót do sprzedawania się i dzielenia „zyskiem“. Te dziewczyny mają jeszcze sumienia nienaruszone. Ale coż ma robić milicja? Milicja nie ma środków. Milicja odwołuje się do wydziałów opieki społecznej rad narodowych a te — dają zasiłki... po zbiciu na miejscu poziomu życia kandydatek do zasiłku. A gdzie zbadać ten poziom, skoro dziewczęta żyją jak bezpańskie psy, po gruzach, po przygodnych melinach, po bunkrach? — Największy procent dziewcząt uprawiających nierząd to są dziewczęta z nakazami pracy a bez mieszkań, oderwane przez życie i warunki od rodzin. Są także takie, które uprawiają swój zawód pod okiem rodziców, szczególnie matek. Ale to raczej wyjątki.

Państwo posiadające tysiące tzw. uczciwych obywateli bez przyzwitołgo dachu nad głową — nie będzie budowało specjalnych domów opiekuńczych dla samotnych dziewcząt, o których wiadomo, że... itd. Nawiązanie Państwa do tego jest rzuca- niem grochu o ścianę. Te tysiące prostytutek dziś już „czynnych“ i te na-



BIBHUTI SEN

stępne tysiące, które zasila ich „szereg“ w tym i następnych sezonach, to chyba jest cena naszego państwowego ubóstwa, to jest cena, którą między innymi musimy zapłacić za budowanie tzw. lepszej przyszłości. Jeżeli w tym co mówię jestem hipokrytą — proszę uważać mój felieton za rękawicę rzuconą pod nogi tych, którzy z otwartym czołem mogą mi przeciwstawić jakś bardziej, jak się dziś modnie mówi, „konstruktywny“ program.

Bohdan Drozdowski

Jeden z ostatnich dni kwietnia, 27 albo 28. Już po wiosnie. Upał szumił piekielny, aż białe w powietrzu i za każdym mrugnięciem powieki lechące krople potu spadały z rzes i kłudy po pobródzonych polczkach, które potrzeb można było tylko wierzchem usmarowanych dłoni. Antoś Cwojka i Józek Stern od rana mordowali się na kanale z wymianą środkowego piora z przedniego resoru ciężarów. Od wysiłku palców, ramion i nóg zapierających się w rowie ich twarze przybrały wyraz cierpienia; a kłemy nie chciały puścić. W coraz czarniejszych twarzach białka im tylko błyskały przy ciągłym zagładaniu w podwozie i z czoł nie ustępowały fałdy nawet w chwilach odpoczynku. Po czym jeden albo drugi wylazł na powierzchnię i siadając okrakiem na osi naciskał z góry. Osk!... Osk!... Kłemy nie chciały puścić. Potem znowu obaj operowali od dołu. Antoni oparł się w pewnej chwili o ścianę, z której trochę piachu poleciało mu za obszwywkę kombinizonu. — Józek, przynieś wiadro wody, bo mnie tu szlag trafi, jak Boga kocham. Takiego skurwysyna jak ten resor, nie widziałem jak długo żyje.

Jeszcze Stern nie zdążył przełożyć nogi przez krawędź kanału, gdy z drugiej strony zająrzała pod wóz czyjaś dyniasta głowa, odwrócona, dziurkami od nosa w górę. Poznali Mańkowskiego, któremu po ostatniej, dawnej już burdzie przywrócono stopień plutonowego.

— Hej — zawołał Mańkowski, — zróbcie kropkę. Mam nowiny. — Wytrzymał ich trochę, niedowierzających zresztą i umordowanych do granic zupełnej apatii, Stern opuścił nogę.

— Gotowe — powiedział po załadowaniu.

Noga na starter i samochód w dwie sekundy skoczył ku bramie. Antoni wykreślił na drogę i pocisnął solidnie. W martwej pustyni od razu obudził się gorący wicher od jazdy i w pozasianianym coupé zahuczało jak w samolocie, od motoru i furkotania budy. Kierowca zawsze dużo myśli w czasie takiej samotnej drogi. Przez kilka godzin — ha, ubije się tego sporo, jak piany. A gdy potem scisnąć w garści — nie pozostaje prawie nic.

Lilianne — nie potrafił się wydobyć z jej kręgu — nicaśmy wielkiego razem nie przeżyli, a jednak — żal. Jadę po to, co właśnie nazwałem wyrwaniem korzeni. Widzisz? The roots... Pożegnać się. Je te n'aime pas... za często mi to z początku powtarzałaś, i na takich podstawach ułożyła się nasza przyjaźń. Lepiej byłoby potraktować cię jak dziwkę. Ale to nieuczciwie. Nie dałaby się. Do Bagdadu trzy bite godziny drogi w jedną stronę, a teraz chodź o to, żeby wypracować trzydzieści minut, trzy kwadransy na obu kursach, i czy ja ją zastanę? I gdzie? Z naprzeciwiaka leci „Dodż”. Mam ją na środku maski, na lewej latarni. Dżsss! Dżsss! — przeleciała wypuszczając spod kół pióropusze piasku. Pies ich trącał z takim polewaniem, można się udlawić. Lilianne, chwilami mimo wszystko byliśmy bardzo blisko siebie, trzymałem cię w ramionach, drżałaś pod dotknięciem mojej twarzy, pocałunki kłudy cię w serce, a może to nie był brak miłości, tylko strach? I tacy byliśmy bezdomni, kawiarz, las palmowy, widząc szyld hotelu przechodziłaś na drugą stronę ulicy, strach dziewczyny... Leeli Austin z przyczepą. Ten mnie dopiero zasypie. Włączył wycieraczkę, która zgryzła sucho na szybie. Zatrnie się zaraz, w powietrzu ani kropki wilgoci. Dżss-wrrr-dżsss. Przez chwilę jechał jak w mące, tylko wycinek koła na szybie pozostał czystszy. Tyk-tyk! Tyk-tyk, i suche morze dokoła. O dwunastej piętnaście wyprzedził beczkówóz, droga zrobiła się jeszcze gorsza, zawiana, objazd. Wzmagalo się gorąco. Szarpnął zatrza-

Opuścił ręce, a potem rozłożył je z gestem — cóż robić? wyjeżdża się...

Usiedli na łapczanie i Antoni zaczął szybko porządkować ich wzajemne rachunki, możliwe niedopowiedzenia wyjaśniać, przemilczenia wydobywać na światło dnia. Wspominał na przykład miejsca, które mieli odwiedzać razem, ale już nie zdążyli, z uśmiechem, jakby niespełnienie było tylko kwestią zwłoki na dwa tygodnie, oddawał sprawiedliwość imprezom udalym, które w kronice ich życia pozostawiały dodatnie, przyjemne wrażenia — tak mu się przynajmniej wydaje. *Quelle bagarre!* Lilianne potakiwała, naturalnie, ale nie znajdowała powodu do wątpliwości, wszystko było tak jasne... Jak ty się wyrażasz, *we had a swell time!* Spytała go o adres, pierwszym jego obowiązkiem będzie napisać. — Adres?... Chyba numer poczty polowej. Ależ tak, natychmiast. — przypomniał sobie, że ma jeszcze ich kilka wspólnych zdjęć, z których nie dostarczył jej odbitek. Poszukawszy po kieszeniach, wydobyl je z przedziałki w notesie. Pochylił się nad nimi i Antoni poczuwszy blisko ciepło jej głowy i pod swoją ręką dłoń zwinęta na polstrze, stracił zdjęcie z kolan na dywan i pomyślał, że na nic ratowanie godności. Tu nie ma nic do stracenia, a na jak najdłuższej trzeba zachować zapas jej życia, jej widoku — w sobie.

Scisnął jej barki i spojrzał w oczy, granatowe w cieniu, tak z bliska, że ich prawie nie widział równocześnie, ale trwoniąc wycekiwanie to w jednym, to w drugim na przemian. Usta miała poważne, ciężkie, chmurne.

— Czy ty mi wierzysz, że cię kochałem? — wycedził przez zęby, splaszczając to słowo, żeby się nie wydało śmieszne, kiedy już jest niepotrzebne.

Brak odpowiedzi.

— Czy ty mi wierzysz: czekałem na ciebie, łudząc się za każdym razem, że coś się zmieni i przywiołasz mnie! (...and you'll call me from beyond).

Brak odpowiedzi.

— Nie rozumiesz tego, co mówię? Skinięła głową, że rozumie.

— Powiedziałem ci: jestem jeszcze w drodze z Bagdadu. Z Bradley'em muszę się zobaczyć...

— Jakby tak każdy z nas jeździł się żegnać dokoła, to wciąż byłibyśmy w drodze, a obóz zwijałby się sam. Austin wciąż jeszcze stoi na kanale...

— No to stoi, wieczorem grata zrobimy, światło mamy pociągnięte. Znalazłeś co potrzeba?... A teraz odpowiedz mi na jedno pytanie.

Stern podniósł się, wytarł palce i wrzucił gaiganek do skrzynki.

— Tylko prędko, bo mnie tam opieprzą.

— Powiedz mi... czekaj, to bydlę na mnie patrzy, dlaczego skończyło się ze skrobaniem, Ruszaj do miski, zielony, nie zawsze będziesz miał ją pełną. — Jaszczur zawiął ogonem i ruszył tam poważnie, trochę obrażony. — No więc zastanawiam się, dlaczego człowiek tak się garnie tutaj do dziewczyny, tak za wszelką cenę chce coś dla siebie zdobyć, jak by to miało być ostatni raz. Nie dużo: ciepłe słowo, trochę tkliwości, próbuje i próbuje, choćby za to dostawał po uszach.

— Normalnie, jak do kobiety — stwierdził Stern. — Powiedziałbym ci dobitnie, czego ty od niej chcesz, tylko się krzywisz...

— Eee, to nie wszystko. Pomyślałem sobie: może dlatego, że stoimy przed bitwą?

— Do bitwy jeszcze daleko...

— Ale czujemy ją w kościach. Wiemy, że będzie, tak?

— W trzydziestym dziewiątym bywało gorzej. My już jesteśmy zaciężni, Antek, za wodowi.

— A te cztery lata?? Aaa! — przetarł twarz, ziewnął, machnął ręką czując, że się żadnej prawdy nie dogrzebią. — Z Bradley'em muszę się zobaczyć...

Stern uznając się zwolnionym przez tę formulkę, wyszedł po cichu.

Cwojka patrzył przez chwilę życzliwie, jak się jaszczur z miski ze smakiem pożywia. Potem Stern powrócił i zawołał wsadzając głowę do środka:

— Ulewicz czeka na ciebie przy bramie.

Antoni podniósł się bez pośpiechu i z rękami w kieszeniach poszedł te pięćdziesiąt kroków ku budce strażnika. Zmarszczony przed blaskiem począł się rozglądać, gdyż stało tam kilkunastu żołnierzy w grupach. Ulewicza nie bardzo nawet pamiętał i wcale z nim, mówiąc prawdę, nie sympatyzował. Odnależli się w końcu.

— Czołem.

— Czołem — i podali sobie ręce.

Plutonowy Ulewicz z I Dywizji przyjechał, jak widać, z poleceniem, załatwił sprawę i teraz już tylko przypatrywał się jak wygląda zbieranie do drogi. Miał czas. Wziął Cwojkę na bok.

— No — powiedział — wy już wyruszacie.

— Jutro.

— Tak, wiem. My też chyba niedługo.

— Zapewne. Gotuje się coś większego. My do Tel-El-Kebir, a potem chyba Włochy. Nie wiadomo — desant, czy zwyczajne lądowanie. Jak mówią, Niemcy lotnictwo mają już słabe...

— Tak, Cwojka... mam do was sprawę — plutonowy Ulewicz wziął Antoniego jeszcze raz pod łokieć — wy macie ładnego jaszczura, którego oczywiście nie będziecie mogli wziąć ze sobą w drogę...

— To prawda — Antoni spojrzał na plutonowego zadowolony, że się w końcu wyjaśniło o co chodzi. Oceniał przez chwilę w myślach, czy jaszczurowi będzie dobrze w Ulewicza, i na jak długo. Przecież w swoim czasie Bradley...

— ...Ja bym wam zaptacił za niego.

— Nie ma mowy. Ja za niego nie przyjmuję pieniędzy.

— Tym lepiej — nie zmartwił się plutonowy — bo wam naprawdę wszystko jedno. Ale z drugiej strony nie chciałbym, żebyście wy nie mieli z tego żadnej korzyści.

— Shut up. Ulewicz, szkoda gadać. Tylko czy on się do was przyzwyczaił — zastanowił się Cwojka — bo z nim to znowu nie jest tak prosto. I z jedzeniem przebiera... Ja wam powiem co on lubi.

Ulewicz spojrzał na niego zdziwiony.

— To co on lubi nie ma właściwie znaczenia.

— Dlaczego? — zapytał Antoni dobrzdusnie.

— Bo ja go chcę na skórke. No, funta wam dami.

Antoni osłabił na sekundę, a potem sprężył się i zamachnął ręką od ucha. Ulewicz uskończył i cofając się kreślił mu kółko na swoim czole — zwarłował! — Antoni postępując krok w krok z nim warczał coś pod nosem: — Chcesz po mordzie, chcesz po mordzie?! — aż mu tamten zniknął sprzed oczu w zamieszaniu przy bramie, samochód jakiś wyjeżdżał.

Wzburzony powrócił do namiotu i okrzyki go raz z pasją, kopiąc grudy piachu po drodze. Natknął się znowu na Sterna.

— Wiesz, czego ten skurwysyn chciał — krzyknął do Sterna — chciał naszego jaszczura na skórke!

Józek aż przystanął.

— Nie mogłeś mu dać po mordzie?

— Byłbym mu dał, ale uciekł.

Długo nie mógł się uspokoić. Usiadł w namiocie na łóżku i spławił z suchego gardła między buty, próbując tę odrobinę wilgoci rozcierać obcasem. Napił się wody i znowu usiadł. Potem wstał zdecydowany i schylił się po jaszczura, który trawił obiad w kącie w nieruchomej pozycji derwisza. Ujął go pod miękkie brzuch, dźwignął i pomagając sobie biodrem wyniósł z namiotu. — Chodź — powiedział — ludzie są niedobrzy.

(Dokończenie na str. 11).

JASZCZUR I LILIANNE

— Jutro zwijamy obóz. Antoniemu krew odpłynęła z serca.

— Jak to zwijamy?

— No zwijamy po prostu i wyruszamy w drogę, jesteście wojsko, czy nie?

— Wojsko, no tak. A dokąd?

— Mówią, że do Tel-El-Kebir w Egipcie. A stamtąd pewnie dalej. Brindisi albo Tarent, Italia.

Cwojka pytał dalej — od kogo ta wiadomość, czy na pewno jutro, bo tak się już nie raz mówiło...

— Bądź spokojny, — powiedział Mańkowski, kłękając przy rowie — tym razem to pewniak. Wiem od Chwiejki, przyszedł rozkaz z dowództwa Korpusu. Nasze dywizja się rusza, reszta na razie zostaje.

Antoni polecał natychmiast, inaczej nie można jego pośpiechu określić, — polecał do kapitana Chwiejki i zameldował się z prośbą. Zanim zdolał otworzyć usta dla sformułowania jej treści, kapitan sądząc po intensywności błagalnego wzroku kaprała, zapytał od niechcenia:

— Bagdad?

— Tak jest, panie kapitanie. Za sześć godzin — spojrzał na zegarek — za sześć godzin będę z powrotem.

Chciejko podniósł się znad księgi inwentarza i wyszedł przed stół.

— A co będzie z samochodem? Wicie prze-deż, Cwojka, że do jutra musi być na chodzie.

— Dokończymy w nocy, popracujemy w nocy z Józkiem Sternem, on mi to obiecał. W chłodku będzie nawet lepiej, bo teraz piekło.

Chciejko uśmiechnął się, postąpił krok naprzód i klepnawszy Antoniego w ramię przytrzymał ten gest wyrzucając go naciskiem ręki z namiotu.

— Jedźcie więc, Antoś. Mes reverences dla panny Cochinet. Nie zapomnij jej tego gde mnie powiedzieć.

— Powiem jej, oczywiście. Zawsze jej potarżam, że pan kapitan Chciejko jest naj-moższy facet w całym batalionie. — Pokazał zęby, od wyjścia zwracając raz jeszcze ku niemu twarz.

— Obok jaszczura — rzucił za nim kapitan i powrócił do swojej pracy.

Antoni dygnął głową popod fartuchem brezentu i przed namiotem zastanowił się co i w jakim porządku ma zrobić. Najsamprzede pobiegł do magazynu po dwa kanistry benzyny. Obciążony jak kulis, na ugiętych nogach potoczył się z nimi do skraju drożki, skąd będzie je mógł zabrać na wóz. Po czym skończywszy do swego namiotu w pięć minut przebrał się, umył i przysposobił leppa do drogi. Stern wyszedł mu narzeczć i zapytał — co jest? Czyś ty się wścieki? Resor nie rozmontowany...

— Kończymy w nocy. Wrzuc mi te kanistry do tyłu. — Cwojka nachylił się zza kierownicy. — A wyruszamy istotnie jutro. Wypocznij sobie. Mam mało czasu i wszystko ci później opowiem. Serwus.

Stern marszcząc się w stońcu patrzył na niego przez chwilę krytycznie a potem bez słowa sięgnął do kanistry.

ski okienka od odenionej strony, lepszy piasek między zębami od duszności. Lilianne, — Lilianne, — od tej inkantacji zaczynał każdy smutny pasaż swojego myślenia i dopiero tamśma asfaltu na połączeniu Mossul—Bagdad, a potem białe jak wyprażona kość mury miasta — natchnęły go nastrojem weselszym. Przejechał most na Tygrysie i spojrzał ukradkiem na zegarek: miał dobry czas. Tak dobry, że na skrzyżowaniu Al Rashid i Wazirijah omal nie spowodował kraksy. Tuż przed zderzakami jakiejś osobówki machnął się w boczną ulicę, coś tam nawet za nim stuknęło i policjant gwizdnął. Antoni rzuciwszy wzrokiem za siebie zobaczył figurkę w białym tropikalnym uniformie i w kasku, z pałką wyciągniętą w pogroźce. Nie przepisowo? Życie jest nie przepisowe, mój panie, i gazu! Pierwszy raz zjechał przed dom Liliany jak do siebie. Nie zaprosiła go nigdy, teraz wszelkie względy odpadają. Jest druga, zapewne już obiad, Lilianne. Wysiadtłszy otrzepał się trochę i wszedł na miękkich nogach w chłodniejszą sien, żeby poszukać w półmroku schodów. Stary Cochinet na pewno zamieszkał od frontu, oficyny są dla kolorowych. Na podeście sylabizował tabliczki i kiedy się już strwożył cokolwiek iż błazni, na drugim piętrze zobaczył: Lucille et Lilianne Cochinet. Drzwi odla-kierowane. Drzwi, za którymi mogło mieszkać jego szczęście. No, nie przesadzajmy. Nacisnął dzwonek i cisza. Krew, jakby wstrzymana dotąd po zawrotnej jeździe, i puls powracający obawy — szumiły w nim rytmicznie. Potem kroki. Otworzyła mu nie stara jeszcze kobieta z sylwetki podobna do Liliany, w pasowym szlafroku, Lucille. Szpara w drzwiach rozszerzyła się pod jej ręką.

— Lilianne?... — zapytał Antoni nieśmiało i usłudnie nachylony po odpowiedź. — Pardon, bon jour, madame.

— Bon jour. Entrez, je vous prie — w jej gardle zacharczało gwałtowniej niż u córki. Widocznie stała bliżej ludu i jego niedbalęgo argot. — Lilianne! — zawołała za siebie i Antoni przestąpiwszy próg, uspokoił się.

Dziewczyna wybiegła z pokoju położonego w głębi korytarza, światło od okna biło w jej sukienkę, wjeżdżał nogi. Szybko zbliżała się do cieni w wejścia.

— Antoine, quelle surprise!... Merci, madame.

— I am in a great hurry, darling — powiedział Antoni, wspierając się ręką leciutko na obręczy stojaka na parasole. — We'll part tomorrow.

— Incroyable!

Wskazała mu pokój na lewo. Antoni ciężko potknął się w progu, był jednak zmęczony. Szybkim spojrzeniem objął jej pokój — ładny. Oglądał go pierwszy i ostatni raz. Gdy Liliana zwróciła się ku niemu na środku dywanu, ujął jej obydwie dłonie i ucałował po kolei. Wsunęła z uśmiechem jedną rękę i pogłaskała go po głowie. Uplywały sekundy... Psiakrew, zawsze uważała mnie za pizia, i ochota do przyciągnięcia jej do siebie zastygła w nim i zszarżała na popiół,

HUMOR

BRODACZE W SZKOCI

W słynnym Aberdeen mieszkali przed laty trzej bracia — Szkoci. Jeden z nich wyjechał do Ameryki. Po dziesięciu latach braciśzek z Ameryki wraca do Szkocji. Na stacji oczekują go bracia.

— Czy wy należycie do rodziny Mac Gregory? — zapytuje przybyły.

— Tak!

— Więc to wy jesteście moimi braćmi?

— Tak!

— Byłbym was nie poznał. Strasznie zmieniliście się! Dlaczego nosicie te brody?

— Ponieważ wyjeżdżając do Ameryki zabraliśmy z siebie brody...

POUCZENIE

Znakomity dziennikarz francuski Jules Sauerwein tak pouczał raz jednego ze swych młodszych kolegów:

— Dobry felieton powinien zaczynać się mniej więcej tak: „A wtedy nieboszczyk wstał i zawałał...”. Wówczas nikt — podkreślił Sauerwein — nie potrafi powstrzymać się od dalszego czytania!

COŚ NIECOŚ O GŁOWACH

— Nie należy wcześniej tracić głowy, zanim nie dojdzie się do przekonania, że się nic przez to nie straci.

— Miał za złe myśleć każdej obcej głowie, że nie powstała w jego głowie.

— Kapelusze może latami siedzieć na wybitnej głowie, bez żadnej dla siebie korzyści.

LAKONICZNY RAPORT

W aktach śledczych angielskiego Scotland Yardu znaleziono następujący raport:

„Dyrektor pewnego banku w Londynie chciał się w nocy przekonać, czy służba wartownicza w gmachu banku funkcjonuje. Funkcjonowała źle i dyrektor mógł bez przeszkód zabrać pół miliona funtów szterlingów. Od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął”.

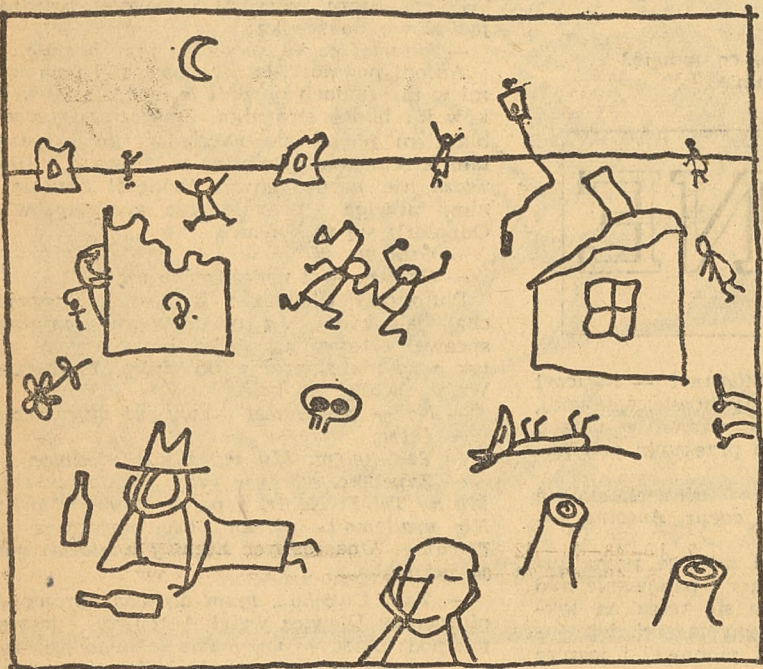
I TAK SIĘ TEŻ ZDARZA

W redakcji jednego z nowopowstałych tygodników w Warszawie redaktor naczelny zapytuje sekretarza: — Jaki materiał nam przysłałno?

— Znani pisarze przysłali nam bardzo słabe rzeczy, lecz za to jeden grafoman nadesłał nam świetny utwór.

Zebrał T. J. W.

PODRÓŻ DO GLIWIC



Rys. Sławomir Mrożek

(Z dziennika Polaka)

Kraków, 4. VI. 57, godz. 14.00

Ponieważ mam pojechać do Gliwic, więc postanowiłem zjeść obiad. Obiad jada się albo w domu, albo w restauracji. Ja chciałem zjeść w restauracji dworcowej. Niestety, była nieczynna. Po krótkiej ucieczce z kontrolerem, który nie potrafił zrozumieć, że wychodzę z dworca tylko na niewielki okres czasu, by przed wyjazdem do Gliwic (mówiłem) zjeść obiad — znalazłem się na ulicy. W tym momencie zaczął padać deszcz. Otworzyłem parasol i od razu zostałem potraktowany satyrycznie przez grupę młodych ludzi, którzy wołały wysoce nieestetyczne zielone treneczki z naramiennikami od estetycznego i praktycznego parasola. Parasol jednak funkcjonował wadliwie, bo jest zepsuty i bardzo stary, a na kupno nowego nie mam pieniędzy. Trochę więc zmoczony wkroczyłem do restauracji pn. „Dworcowa” przy ul. Lubicz. Przelotna walka z pewną ilością zalanych mężczyzn, którzy sądzili, że jestem Tadeuszem, będącym im winien 500 zł — zakończyła się wprawdzie moim, lecz pyrrusowym zwycięstwem. Keiner skrzyknął mnie strasznie, że chcę zjeść obiad w chwili, gdy on jest tak bardzo zajęty. Wypiłem — po krótkiej walce z barmanką, która sprzedawała wódkę przyjaciółom Tadeusza — małe jasne piwo i pobiegłem na dworzec.

Godz. 14.35

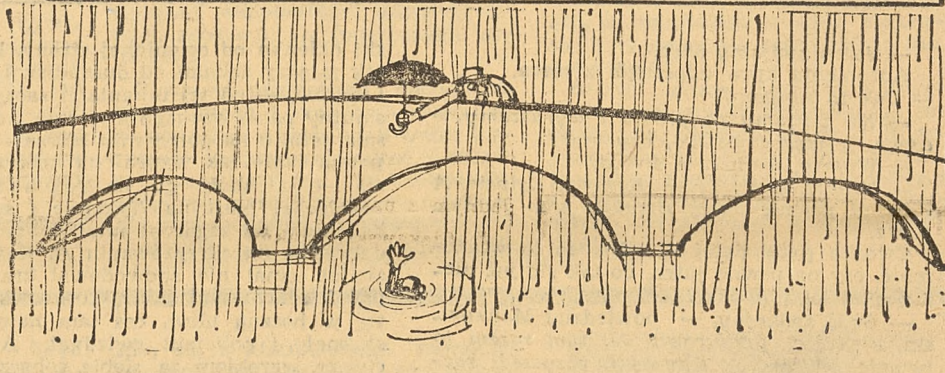
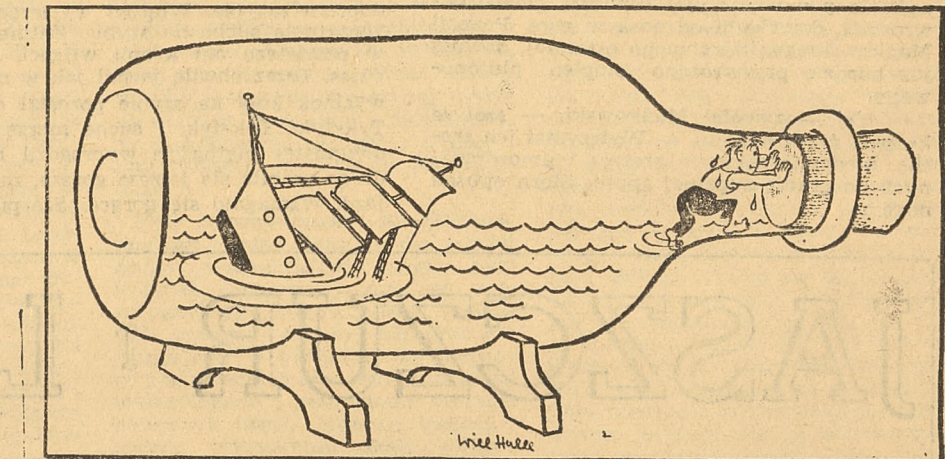
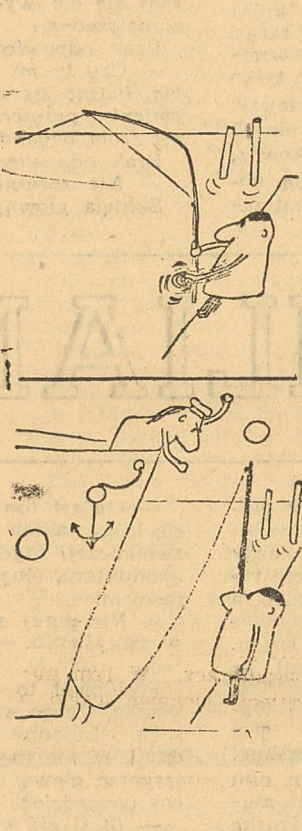
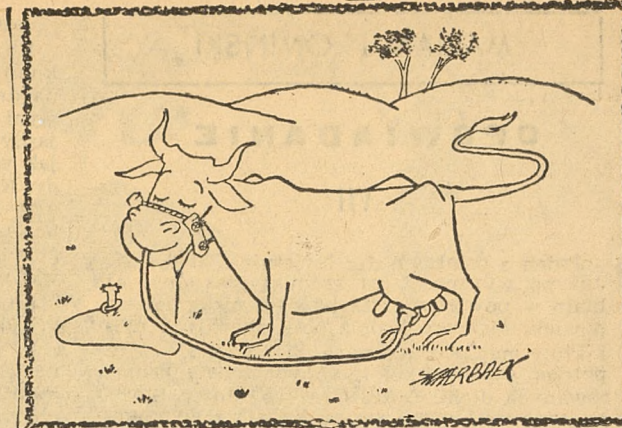
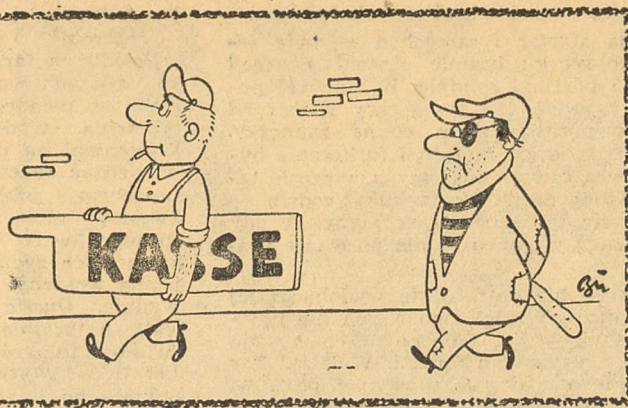
Ponieważ posiadałem bilet do klasy II, wobec tego nie mogłem dostać się do odpowiedniego wagonu. Mamy wprawdzie PaFaWag, ale nie mamy dostatecznej ilości wago-

nów i na pewnych liniach podróż grozi śmiercią żadaną przez sprężony, ryczący i spocony tłum. Gdyby nie deszcz — pojechałbym na stopniu, lub zderzaku; parasol stanowił równie poważną przeszkodę. Zgłaszałem więc kontrolerowi dopłatę do I klasy. Zabiera bilet i oświadcza, że będzie to kosztowało 15 zł. Uspokojony stałem w tłoku na korytarzu w wagonie I klasy. Już jadę. Jeszcze tylko pewien plutonowy nadeptał mi na nogę.

Mysłowice

Długie poszukiwania kontrolera, który zabrał mi bilet, połączone z groźbą utraty życia podczas skoku z wagonu do wagonu (na „ławkę”, która biegnie na zewnątrz wzdłuż wagonu) i zaciętą walką z ludźmi nie mogącymi w żaden sposób pojąć, że pragnę mój bilet odzyskać — zakończyły się pomyślnie. Odtwarzam scenę.

JA: „Proszę o bilet”. KONTROLER: „A, to pan. Pozwól pan na bok”. JA: (przepycham się, bijąc i odparowując ciosy). K: (robi poważną minę, a potem bardzo lekko uśmiecha się). „No?” JA: „No?” K: „No nie wiesz pan, jak jest?” JA: „Proszę o mój bilet i chciałem uregulować dopłatę do I klasy”. K: (szepcąc) „NO, NIE WISZ PAN, JAK JEST?” JA: „Nie wiem”. K: „Toś pan taki! Co pan myślisz, że ja mogę wyżyć z tych zasranich groszy, co mi płacą?! Pan jesteście burż, to panu dobrze. Francowata Pekape!” JA: Proszę jednak o zrealizowanie normalnej dopłaty i zasnuć się, rozumiejąc, że w tym nieantagonistycznym konflikcie nie mamy słuszności obaj: on wytu-



SATYRA

dzając prowizję i ja, odmawiając mu tej prowizji.

Katowice, god. 17.08

Bardzo szybko biegnę na dworzec autobusowy, roztrzącając naszych dzielnych pijanych górników. Biegnę, ponieważ na 80-kilometrowej trasie pociąg spóźnił się 10 minut. W istocie: autobus do Gliwic właśnie odjeżdża. Próbuje wskoczyć, ale bez rezultatu, ponieważ tłum wypełnia autobus tak szczelnie, że gdybym otworzył drzwi, ludzie wylaliby się na zewnątrz. Staję w kolejce do następnego autobusu, który ma wyjechać o godz. 17.45.

Godz. 17.30

Dwóch młodych ludzi, stojących przede mną czyta „Przekrój” i zupełnie nie rozumie „Nowelki asyryjskiej”. Wiesia Dymnego. Mówią o nim, że jest wariat.

Godz. 17.45

Pijana niewiasta klóci się z PKS-owym informatorem, nadużywając słów: „pierunie” i „gówno”.

Godz. 17.50

Podkreślam: siedemnasta pięćdziesiąt: Zachrypnięty człowiek o bardzo złej dykcji informuje przez megafon: „Autobus do Gliwic, stanowisko 27, na godz. 17.45 — wypada”. Bardzo jestem już mokry, bo stary parasol, którego używam w miejsce nowego bardzo drogiego — nie funkcjonuje, jak winno prawidłowo. W pobliskim barze mlecznym zjadam stęchły ryż ze skwaśniałą śmietaną, wracam do ko-

lejki i oczekuję autobusu, którego odjazd przewidziany jest na godz. 18.15. W Gliwicach muszę być o 19-tej. Nie jest dobrze, ale przecież, co kraj — to obyczaj, uczy ekonomia polityczna.

Godz. 18.05

Staruszek o wyolbrzymionej cząstce usiłuje udowodnić mi, że to on stał w tym miejscu, a nie ja. Dwie dziewczyny szalenie rozchichotują się na mój widok. Ulan jestem, czy co? — myślę. Tymczasem okazało się, że to mój parasol spełnia rolę bodźca, a nie ja.

Autobusu nie ma.

Godz. 18.15

Autobusu nie ma.

Godz. 18.20

Autobusu nie ma.

Godz. 18.25

Autobusu nie ma.

Godz. 18.35

Autobus nadjeżdża. Krótka walka w błocie. Dotkliwy ból kolana. I już wewnątrz autobusu. I już jesteśmy. Hej, deszcz! dzwoni o szyby. Hej, jak ślicznie miga świat za oknami.

Godz. 18.40

Konduktorka oszukała mnie o 80 gr. Jeden pan zrobił straszną awanturę jednej pani za to, że oblał ją zsiadłym mlekiem, które odkorkowało się i ze specjalnej półeczki na podręczne bagaże ściekło na płaszczyk z beżowego flauszu.

Zabrze, godz. 19.05

Ponieważ winienem być w Gliwicach punktualnie o 19-tej — autobus stoi tu przez czas dłuższy. Po krótkiej walce wydostaję się z autobusu i wchodzę prosto w deszcz. Ludzie, którzy oczekują mnie w Gliwicach niedługo zaczną rozchodzić się do domów.

W ten sposób rzeczywistość zacydowała, bym nie dojechał do Gliwic. W dalszym ciągu nastąpiła seria faktów, których dokładny opis

zbyt wiele pochłonięłoby czasu. Wystarczy wspomnieć, że w Zabrzu, owej przystani zalanych prostytutek, spędziłem blisko dwie godziny, znosząc dalsze obelgi z racji mego parasola i jedząc nieswieży bigos. Potem pociągiem, który nadszedł z Gliwic z opóźnieniem, dostałem się do Katowic. Pociąg do Krakowa miał odjechać o 22.19. Gdz'e idzie Polak, gdy ma godzinkę czasu? Na wystawę? Do muzeum entomologicznego? Nie, do knajpy. W knajpie siedziałem z trzema zbrodniarzami, którzy przypominali sobie, jak zbił mordę Genkowi („Puścił fuche, pierunie, nie?”). Pociąg odjechał z opóźnieniem. W przedziale nie było światła. Wszyscy leżeli na ławkach i nie chcieli ustąpić mi miejsca. W Krakowie na postoju nie było taksówki. O godzinie 1-ej, minut 30 znalazłem się w domu.

Nasze warunki obiektywne wyjęły ze wstęgi mego życia 11 godzin, które spędziłem w pociągach, autobusach, na peronach, w knajpach, w barach mlecznych — zupełnie bez celu.

Czy jestem pięknoduchem? Reakcjonistą? Zdemoralizowanym malkontentem? Frajerem? Niedoceniaczem drogi ku? Aspołecznym kwiatem, który wyrósł na gruncie kamienistym, ale swojskim?

Czy też może w epoce, która konstruuje samochód za pociśnięciem guziczka zmieniający kolor i łodzi ratunkowe zaopatrzone w proszek antyrekinyowy i wodoodporne plastikowe karty do gry — może w tej epoce chcemy, po prostu, dojechać do Gliwic?

U w a g a: W związku z ewent. sugestiami o przejawianiu, względnie fantazyjności niniejszych notatek — oświadczam, że wszystkie opisane tu fakty — w pełnym ich przebiegu — są całkowicie autentyczne.

LESZEK HERDEGEN

Jak zapobiec niszczeniu lasów?

Żywo interesuje mnie problem niszczenia lasów w Polsce, jakby to chodziło o mój własny organizm. Zjawisko to wynika ze złej w ogóle gospodarki leśnej a w szczególności stąd, że straż leśna, nadleśnictwa i gajówki są słabo opłacani i ulegli demoralizacji. Wódka i łapówka torują drogę do bezkarnego wycinania najpiękniejszego drzewostanu. Osobiście znane mi są takie oto fakty: po libacjach u leśników złoźnie na oczach ludzkich, „legalnie” wywożą drzewo z lasu. Drzewo z lasu ginie wykradane nocą również. Nkt nie pilnuje wystarczająco, „bo nie płaca”. Jest za mało strażników. Po lasach wypasa się bydło, które objada, depce i łamie runo leśne, młode drzewa.

W lasach sprzedaje się ściółkę corocznie powodując tym wyjątkowe niszczenie lasów i starłowanie drzewostanu. Prywatni wyplatacze koszy do chleba kopią po lasach i rwa bezkarnie korzenie, powodując uszkodzenie rosnących sosn.

Wycinanie gospodarcze lasów nie idzie w parze z sadzeniem na to miejsce nowych drzew. W młodym drzewostanie nie robi się przecinki, co powoduje ciasnotę i osłabienie rozwoju drzewostanu.

Jakie stać wnioski celem ratowania lasów?

1. Bezwzględnie zakazać wypasu bydła w lasach.
2. Wzmocnić dyscyplinę leśniczych, by nie pomagali w niszczeniu lasów, dać im przydział opału, ściółki i podnieść uposażenia.
3. Bezwzględnie zakazać grabienia ściółki w lasach, zwłaszcza piaszczystych i jałowych.
4. Wzmocnić ochronę lasów przed złodziejami, nałożyć wysokie kary na kłusowników i złodziei.
5. Wstrzymać eksport drzewa, uporządkować gospodarkę leśną.
6. Wszystkie ugory, nieużytki, „liszaje” leśne obsiewać i obsadzać maksymalnie.
7. Premiować i odznaczać leśników prowadzących wzorowo rejon i rewir.
8. Karać i usuwać ze stanowisk leśniczych winnych strat. Wszyscy leśniczy winni otrzymać strzelby.

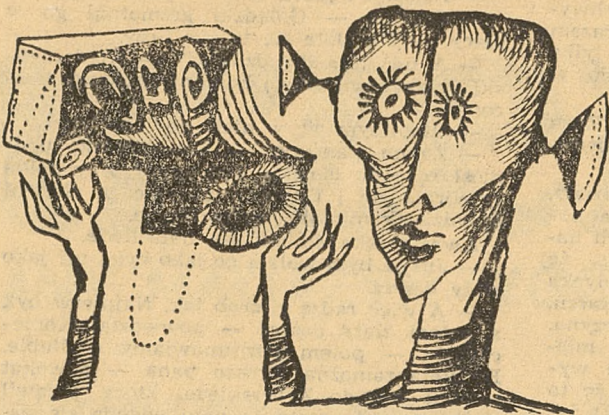
K. OSTROWSKI

Z teki dobrych pomysłów

Jak wyeliminować manka sklepowe?

Spółdzielniom G. S. i PSS nadać sens handlowy i nie angażować sklepowych i ekspedientów wedle ustalonych z góry pensji i opinii, ale według przewidywań od obrotu. Skutek: wyeliminowanie manka nieuczciwych i nieuczciwych w naszych sklepach detalicznych.

STEFAN CZEJKOWSKI
Przemyśl, Konarskiego 6



KOMUNIKAT

w plebiscycie filmowym
GINA LOLLOBRIGIDA
uzyskała 2.321 głosów

BRIGITTE BARDOT 2.100

W następnym numerze podamy
listę Czytelników nagrodzonych,
którzy głosowali na obydwie artystki

Odpowiedzi redakcji

Władysław Mikosz, Kraków, Siemiradzkiego 20b. Pańskie uwagi przekazaliśmy autorowi opowieści „Jaszczur i Lilianne”, który wprowadzi odpowiednią poprawkę w wydaniu książkowym.

Anna Rybeżyńska, Katowice VI, Grunwaldzka 2, m. 7. Nadesłane opisy interesujące. Umieścimy w jednym z następnych numerów.

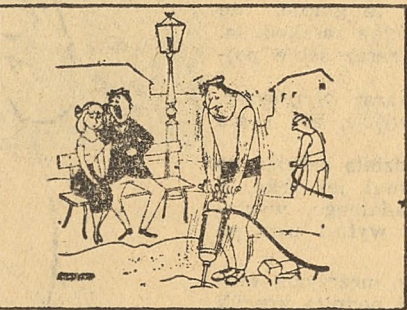
S. Ciekawski, Kraków. Nie uchyłamy się od odpowiedzi na każde pytanie. Jeśli jednak żąda Pan od nas odwagi, winien Pan podpisać się pełnym imieniem i nazwiskiem. Kierujemy się zasadą: nie odpowiadamy na anonimowe. Nie ma obecnie powodu do takiego postępowania. Czekamy więc na uchylenie przybicia a wtedy odpowiemy.

Wincenty Kołobrzelski, Dzierżonów. Błędów przeszłości nie da się odrobić w ciągu tak krótkiego czasu. Jedną z podstawowych cech naszych jest brak cierpliwości a do wyników w jakiegokolwiek dziedzinie dochodzi się, gdy się opanowało tę trudną cnotę. Poważni ekonomiści wypowiadają się ostatnio, że można już zaobserwować pewne objawy poprawy.

Maria Zimna, Wałbrzych. Po otrzymaniu bliźszego adresu nadesłamy fotyso gratisowo.

Stanisław Kruk, Przemyśl, Bolesława Chrobrego 5. Pańskie uwagi są bardzo dojrzałe. Postaramy się je wydrukować w jednym z najbliższych numerów „Zdarzeń”.

Konstanty Ostrowski, Jeńca, pow. Chrzanów. Sądymy, że zdobędziemy zaufanie Czytelników nie owijając niczego w bawełnę, stawiając szczerze i otwarcie problematykę. Zapraszamy do współpracy. W tym numerze drukujemy ciekawe uwagi o ratowaniu lasów. W jednym z następnych umieścimy drugi materiał.



JASZCZUR I LILIANNE

(Dokończenie ze str. 9)

Jego samochód stał w tym samym miejscu, w którym pozostawił go na powrocie z Bagdadu. Usadził jaszczura na tylnym siedzeniu, wsunął się za kierownicę i spokojnie zapuścił motor. W bramie panował taki bałagan tego dnia, że strażnik nie zapytał nawet — dokąd? Antoni wykręcił w pustynię i zaczął lekko pociskać pedał regulujący dopływ paliwa.

Pora była podobna do owej październikowej niedzieli sprzed siedmiu miesięcy, kiedy z nudów wyjechał samotnie i bez celu; może o godzinę wcześniej, albo dzień był teraz po prostu dłuższy. Jeep kopał się z początku żmudnie przez wełniste piachy, a potem pływając zanurzony rwał do przodu, jak gdy piesz spuszczony ze smyczy przestaje charcząc i w głąbich podrzutach poddaje się samej rozkoszy pościgu.

Antoni obejrzał się na obóz, który mimo spłaszczonej perspektywy oddalenia pokazywał wyrwane zeby w równym zawsze wieńcu namiotów. Maszt flagowy jeszcze powiewał. Wkrótce zaczęły się wydmy i Antoni patrzył już tylko przed siebie. Starał się wybierać szlak podobny do tamtej dawnej marszruty i uważał też, aby nie zajechać za daleko.

Wysiadł nie gasząc silnika w miejscu wyglądającym dość przyjaźnie, z tu i ówdzie rozsydanymi kępami kaktusów, i nie całkiem

na oko pozbawionym dobrodziejstwa wilgoci.

Wyniósł jaszczura z samochodu i dzwigając go kulawo odszedł z nim dwadzieścia pięć kroków i upuścił go na piasek.

— Poszukaj sobie jakiejs nory — powiedział i stanął nad nim.

Jaszczur zaczął spokojnie przewijać się koło jego stóp i dłużyć paszczą w uschłych odziomkach roślinności.

Nie ma po co tego wszystkiego przedłużać. Antoni odwrócił się i szybko ruszył w kierunku samochodu. Po dziesięciu krokach obejrzał się jednak i zobaczywszy, że jaszczur niezgrabnie kolebie się za nim, nabierając po drodze rozpaczliwego rozpędu, — zawrócił i stanął jeszcze raz nad nim: — Powiedziałem ci, żebyś poszukał sobie dobrej nory. To wszystko nie ma sensu.

Jaszczur spojrział do góry. Motor stukotał w ciszy. Chwila przeciągała się męcząco. Jaszczur zamrugał paciorkowymi ślepiami, zaniepokojony. Antoni odwrócił głowę, zaczął się, po czym wielkimi susami pobiegł do samochodu, wskoczył za kierownicę, włączył bieg i tak dodał gazu, że omal silnika nie zadławił. Nie obejrzał się już ani razu, łagodnymi zakosami wolantu obierając kierunek: obóz pod Kirkukiem, kierunek Tel-El-Kebir, kierunek Tarent, ITALIA.

K O N I E C

Kraków, luty — maj 1957.



Przebieg

18 losowań „Karolinki”

W powojennej Polsce pierwszą grę liczbową pod nazwą „Karolinka” zainicjowały Katowice w dniu 6. I. 1957 r. Narodziny „Karolinki” były bardzo skromne: w pierwszym cięgnięciu brało udział zaledwie 69.356 losów, za które zebrano 208.068 zł. W tej grze wypłacono za 70 trafnych trójek po 743,10 zł, za 1531 dwójek po 34 zł. Czwórki nie ukazały się również w drugim cięgnięciu, chociaż ilość losów wzrosła do 108.720. Trzecie z kolei losowanie było rewelacyjne, bowiem przy 135.037 losach wyłowiono jedną piątkę, której właściciel, Mirosław Łuszcz z Porabki zainkasował 101.000 zł i zgodnie z regulaminem otrzymał dodatkowo parcelę budowlaną. Od tej chwili Karolinka wstępnym bojem zdobywała popularność notując w swym najwyższym rekordzie liczbę 3.981.849 losów. W 11 cięgnięciu zostaje ponownie wyłowiona piątka, tym razem 11-stokrotnie większa (1.146.095 zł plus parcela budowlana). W dziejach gry liczbowej był to nienotowany wypadek, żeby w tak krótkim czasie, bo zaledwie trzech miesięcy, gracz trafił dwa razy piątki. Wszelkie plotki o nadużyciach okazały się plotkami. Milioner rozpoczął budowę trzech domków rodzinnych (dla rodziców, siebie i dla dzieci). Komisja Karolinki uchwaliła przyznać dla grających dodatkowe nagrody pocieszenia w wysokości po 5.00 zł przez losowanie dla trafnych trójek, przeznaczając na ten cel 5 proc. dodatkowo od zainkasowanej sumy.

Dla ilustracji przebiegu losowań podajemy wyniki z 18 cięgnięć wraz z diagramem:

Cięgnięcie: 1. 46—60—63—64—68
2. 19—50—56—82—89
3. 2—6—39—56—81
4. 16—37—57—64—71
5. 20—23—49—58—82
6. 37—64—73—75—77
7. 17—48—51—62—77
8. 3—49—66—78—84
9. 22—37—42—47—89
10. 18—38—40—41—49
11. 5—53—55—57—74
12. 25—37—59—72—73
13. 7—14—23—43—53
14. 24—26—27—41—62
15. 5—28—37—44—48
16. 8—17—24—66—74
17. 9—10—14—52—53
18. 36—53—62—78—79

Historia gry liczbowej

(2)

Gracz nie miał obowiązku odnawiania losów w następnych klasach. Zachęcano go jedynie do dalszej gry tym, że cięgnięcie głównych wygranych odbywało się ostatecznie dnia. Tego rodzaju loterie klasyczne należą do rzędu najbardziej rozpowszechnionych na całym świecie.

Z Holandii loteria klasyczna przeszła do Hamburga (1610), Anglii, Prus (1703) Danii, Hesi, Meklemburga, Brunświku, Lubeki, Węgier, Serbii, Rosji i Królestwa Polskiego. Wszystkie te loterie powstawały dzięki inicjatywie prywatnej. Nadużycia popełniane przez organizatorów zmusiły poszczególne rządy do ingerencji w sprawy loteryjne. Ulegały one po kolei zmonopolizowaniu na korzyść skarbu rządowego, który tylko w rzadkich wypadkach odstępowal swe prawa wyłącznie towarzystwom na cele dobroczynne i artystyczne.

We Francji zakazano prywatnych przedsięwzięcia w 1687 r. Po 23 letniej przerwie, w roku 1700 założono we Francji pierwszą loterię państwową, która została ostatecznie zorganizowana w 1776 r. Odtąd, z małymi przerwami istniała do roku 1836. Później posługiwano się we Francji loterią od czasu do czasu, celem zdobycia funduszy na cele dobroczynne. W Anglii początki loterii przypadają na lata 1567/68. Zyski przeznaczano tam na różne cele. Na przykład zysk z loterii odbytej w 1569 r. został całkowicie przeznaczony na utrzymanie portów.

W Rosji loteria klasyczna pozostawała w prywatnych rękach, rozwinęła się w XVIII wieku. Katarzyna II przeciwdziałając temu, założyła w r. 1760 loterię pod egidą państwową i w ten sposób zmonopolizowała. Pruska loteria powstała w 1832 roku. Miała ona w ciągu roku dwa cięgnięcia, każde cięgnięcie składało się z 4 klas o ogólnej ilości 190.000 losów po 39 marek za los w każdej klasie. Loteria przynosiła państwu 9 milionów marek dochodu rocznie. c. d. n.

*

W następnych numerach „Zdarzeń” zapoznamy Czytelników: 1) z opolską „Gogolinką”, 2) z lubelskim „Koziołeczkiem”, 3) z warszawską „Syrenką”, 4) z bydgoską „Łuczniczką”, 5) z „Jantarem” z Wybrzeża, 6) z łódzką „Kukułeczką”, 7) z rzeszowską „Koniczynką” i z innymi grami liczbowymi powstającymi w Polsce.

Czystka ex - sportowa

WINA I KARA

W jednym z poprzednich numerów „Zdarzeń” pozwoliłem sobie zademonstrować chuliganów sportowych.

Pisałem wówczas o wyczynach piłkarzy warszawskiej Legii w Krakowie. Określenie „warszawska” mogłoby tu trącić niepotrzebnie odgrzebywanym partykularyzmem, jakimś ansami i przeciwstawieniami: prowincja — stolica. Nie w tym rzecz. Akurat tak się składa, że w drużynie warszawskiej ołbrzymia większość zawodników pochodzi z tzw. prowincji... Tym niemniej siedziba klubu jest Warszawa. Klub należy do centralnego pionu wojskowego. Pion ten „szczył się” do niedawna poborem najlepszych graczy z całego kraju, co w efekcie przysporzyło mu mistrzostwo Polski w piłce nożnej.

Jak wiadomo, nie ma u nas zawodowstwa. Królje amatorstwo. Ponadto twarzą służba wojskowa nie pozostawia zbyt wiele czasu żołnierzowi na rozrywki i przyjemności, albowiem jest rzeczą zrozumią, że nie po to wcieli się młodych ludzi do armii...

Oficjalnie zaprzestano „kaperownictwa” pod płaszczykiem (dostownie) wojskowym. Ale zbiór „primadonn” z różnych klubów nadal tam istnieje. Wszystko byłoby w porządku, gdyby zachowanie „wojskowych” odpowiadało powadze i szacunku. Wi należenia do pionu. „Wychuchani”, wspaniale odżywieni (ach, ta kuchnia wojskowa!), w pełnej kondycji — mają sportowcy CWKS-ów idealne warunki do podnoszenia poziomu kultury fizycznej.

Jakże piękne pole do działania dla opiekunów i wychowawców! Niestety — szczególnie w piłce nożnej — tych ludzi tam zabrakło. Zresztą — opisywaliśmy to z personálną pretensją do trenera Konciewicza, który na mocy wojskowego przywileju awansował „za zasługi”

na trenera państwowego... Paradoksalna historia z człowiekiem, wprawdzie znającym swój fach — ale nie umiejącym wychować nawet klubowego zespołu. Stara zasada pokutuje nadal: — jeżeli nie umie na niższym szczeblu, o! to przesunąć go wyżej... Zawodników, zaś — awansuje się — do reprezentacji... Po czym w nagrodę za sprawowanie się — otrzymują pozwolenie na wyjazd do USA. Jako pierwsi — i najgodniejsi...

Lecz nie tylko trener Konciewicz ponosi winę za brak wychowania swoich podopiecznych. Jeżeli — po — naprawdę chuligańskich ekscesach w Krakowie, gdzie — jak dodatkowo informował katowicki SPORT — dzielni legionieci odgrazali się jeszcze przeciwnikom, których poturbowali, że z „meczu rewanżowego nie wróca żywi”(!) — Wydział Gier i Dyscypliny PZPN karze usuniętego z boiska Strzykańskiego 2 tyg. dyskwalifikacją z zawieszenia nie na 6 mies.(!), a za to krakowskiej Wiśle wlepią 500 zł grzywny za „brak organizacji”, czy wręczcie upomina zawodnika krakowskiego — to, darując Wielcy Mistrzowie Sportu — całą historię traci kpinami i budzi tylko niesmak.

Przypominają się stawetne orzecznictwa kolegów i sądów wobec chuliganstwa. Tolerowane przestępstwa doprawdzają do bezkarności i ośmieszenia wydalających „wyroki”.

W sporcie jeszcze nie osiągnęliśmy poziomu Łojasów. Jeszcze zawodnicy nie okładają się drągami — chociaż złamane nogi, ręce i żebra — nie należą do rzadkości.

Wychowawcy, działacze, luminarze — opamiętajcie się, póki czas!

Jerzy Boher

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY

bez

PANA WŁADZIA

(3)

— Jak Boga kocham, nie mam. Pamiętam o tym, ale nikt czegoś takiego nie przyniósł jeszcze do mnie. Ale trochę cierpliwości. Wszystko się załatwi. Futro ci załatwiłem. No widzisz. Wyraziłaś życzenie i w dwa dni później futerko było twoje.

Kasia pogłaskała go po policzku.
— Dobry jesteś.
— Dla ciebie wszystko.
— Wszystko?
— O, pani — Jagiński skłonił się nisko — wszystkie ciuchy z Ameryki w moim komisie są do twojej dyspozycji.

— E, ciuchy — skrzywiła się Madycka. Jagiński padł na kolana i odchyliwszy nieco sukienkę Kasi pocałował ją w kolano.

— Rządź mną, królowo!
— A więc — Kasia wyciągnęła ramię ponad jego głowę gestem iście królewskim i powiedziała uroczystie — przynieś nam, pa-ziu kielichy z nektarem.

Jagiński przeszedł kilka kroków na kolanach i wybuchając śmiechem podniósł się i wybiegł z pokoju.

Kamaszowska chodziła zdenerwowana po pokoju. Nie zwracała uwagi na Madycką, która usiadła na taborecie przed lustrem, i próbowała wybrać jedną z licznych szminek znajdujących się w kryształowym spodeczku. Potem wysunawszy wargi poprawiła rysunek ust.

— Wiesz, że dostałam nowy krem Ponsa. Doskonały. Rządę ci, postaraj się o taki. Odświeża skórę.

— Tak? — odpowiedziała pytaniem Zuza bez większego zainteresowania.

Kasia spojrzała ze współczuciem na Kamaszowską. Potem poprawiła szwy na nylonach wyciągając przed siebie zgrabną nogę.

— Takie jest życie — zauważyła filozoficznie — nie warto się przejmować. Ja staram się znaleźć zadowolenie w każdej chwili życia. Biorę życie jak leci. Już niedługo będę stara i co mi przyjdzie z cierpienia w młodości. Nawet z takim bydlakiem jak Goladzkim potrafisz przeżyć coś miłego. Po prostu potrafisz przyjmować ludzi takimi jakimi są oni w rzeczywistości. Oni są dla mnie a nie ja dla nich. Takie czasy, że nie ma wyboru. Nie ma ludzi odpowiednich. Może jeden Władek. Ale on jest tak obstawiony, że trudno się przecisnąć. No, moja droga — podeszła do Zuzy i wzięła ją pod brodę. — Powiedz sobie że wyjechał i nie przyjdzie. Zaraz się pocieszysz. I napij się wódki. Koniecznie. Zapomnisz o wszystkim. Chodź — pociągnęła ją kilka kroków.

W tej chwili do pokoju wtargnęli Jagiński niosąc na tacy trzy kieliszki wódki, za nim Koniecznyński ze swoim w ręku i Lilka Kosma.

— Ale Golas, jak ty go nazwałaś, rozrabia — wrzeszczała Lilka — zerwał Jolce ramięczko od sukni. Cóż to za gbur.

— Królowo i damy dworu, nektary do dyspozycji! — Kazio roznosił kieliszki. — Za zdrowie najpiękniejszej z najpiękniejszych.

— Czy słyszeliście ten kawał? — Koniecznyński machał rękami żeby wszyscy zgromadzili się wokół niego. I nie czekając na aprobatę zaczął:

— W nocy do mieszkania ktoś głośno się dobija. Zaniepokojeni mieszkańcy nie wadzą co zrobić. Otworzyć czy nie? Pan domu po cichu skrada się do przedpokoju i słyszy jak ktoś mówi za drzwiami, „Nie bójcie się, otwórzcie. To nie UB, to my, bandyci!”

Sam pierwszy wybuchnął śmiechem i zaraz nim pozostałe osoby.

— Że ty to wszystko pamiętasz — rzekła z podziwem Lilka — ja nie potrafię powtórzyć żadnego dowcipu mężowi. Nie pamiętam.

— A ja pamiętam wszystkie — pochwalił się adwokat.

— A co słychać z twoim starym? Nigdzie go nie pokazujesz — spytał Kazio trzymając za rękę Madycką.

— Gieniu? Taki pocziwy — pokiwała głową — stale gdzieś w delegacji.

— Możesz zatem szaleć!
— Widzisz, że szaleję.
— Szalejmy więc — Jagiński okrzyknął się na środku pokoju i zaśpiewał.

— „Na lewo most, na prawo most, a środkiem...”

Zuza zatkała sobie uszy i odwróciła się tyłem do towarzystwa.

— Co jej się stało? — spytała szeptem Lilka.

— To ich piosenka — odparła Madycka mrugając porozumiewawczo okiem.

— Kogo? — nachylił się Koniecznyński.

— Jej i Władka.

— Aha — Koniecznyński położył palec na ustach i przykazał Jagińskiemu, aby się uspokoił. Kazio skulił się udając, że bardzo

żałuje swojego grzechu, rozwinął ramiona prosząc, aby było mu to przebaczone.

— Zuza — zawołał adwokat — posłuchaj świetnego dowcipu. Rzecz dzieje się...

Lilka pokazała im na migi, aby wyszli z pokoju. Koniecznyński nie był tym zachwycony, ale wziął pod ramię Kasia i razem udali się do jadalnego. W drzwiach tylko zwracając się do Lilki stuknął palcem w czoło.

Lilka i Kasia wyniosły się również. Zuza nawet nie obejrzała się. Podeszła z powrotem do okna i utkwiała wzrok w ulicy.

Słowa Madyckiej dotknęły ją. Wiedziała, że Władek lubi kobiety, że ma szalone powodzenie i trudno mu się opędzić od ich natarczywych propozycji, ale nie sądziła, że ma opinię dziwkarską. A przecież Madycka mówiła o nim jak o ostatnim dziwkarzu.

Widziała go znowu z jakąś dziewczyną. Przedwczoraj zdawało się jej samej, że mignął jej przed oczyma w towarzystwie wysokiej brunetki. Pocieszyła się wtedy, że to tylko przewidzenie. Nie tak dawno żył jeszcze z Maryjką. Całe miasto mówiło o ich szaleństwach. Rozbijali się samochodem po Polsce, Zakopane, Sopot, Wista. Jedynie biedny Linkowski w niczym się nie oriento-

wał. Dlatego też, kiedy w Zakopanem ukradł ktoś Maryjce złoty naszyjnik z brylantem, nie dali nawet znać Milicji, obawiając się, aby nie doszło do skandalu. Linkowski był kiedyś ułanem i nie dopuściłby, aby bezkar- nie zbyszczeszczono jego nazwisko, z którego był tak dumny. Przed Maryjką też była jakaś starsza baba, wreszcie żona, o której mówił zawsze z sentymentem. I dzisiaj. Nie dałaby sobie uciąć głowy, że to interes nie pozwoliłby mu przyjść do niej. Wiedział, że przyjęcie urzędującego właściciela dlatego, aby mogła się z nim legalnie spotkać.

Czuła się oszukana i nieszczęśliwa. Czyżby te wszystkie słowa którymi do niej przemawiał, już nic nie znaczyły? Czyżby zapomniał o polanie w Łasku Wolskim, gdzie szeptał jej tyle przyjemnych rzeczy? Czyżby to wszystko, co mu oddała, nie przedstawiało dla niego już żadnej wartości? Nie, to niemożliwe!

Odsunęła firankę i przytknęła rozpalone czoło do zimnej szyby.

Nie, to niemożliwe. Nie wyobrażała sobie w tej chwili życia bez myśli o tym, że ma się z nim spotkać, że nie ujrzy jego rado- snego uśmiechu i błysku bielutkich, wspa- niałych zębów, że nie zazna rozkoszy dotknięcia jego męskiej, wysportowanej ręki. Nie, nie, musi przyjść. Będzie przeciągać przyjęcie, jak tylko długo się da. Niech przyjdzie za godzinę, za dwie, byleby przy- szedł. Zobaczysz że świeci się w oknach i za- jdzie. Przecież mógł mu nawalić samochód. Głupia guma zajmie niekiedy tyle czasu, że na nic wszystkie obliczenia i punktualność.

Tym bardzo się pocieszyła. Jeśli nie gu- ma, to mogło popsuć się coś w motorze. Ostatnio narzekał, że coś z jego wozem jest nie bardzo. Mówił jej że szuka okazji, aby kupić inny, w lepszym stanie, że ten już sprzykrzył mu się i niechętnie go używa. A ona lubiła tego Opla. Nie wyglądał zbyt okazale, ale wiązało ją z nim tyle przeżyć i emocji.

Odsunęła się od okna, bo ktoś wszedł do pokoju.

— Wszyscy się o ciebie pytają — rzekł Kamaszowski.

— Rzeczywiście wygląda to głupio, że mnie nie ma. Coś mi ta wódka zaszkodziła.

— Nie pij więcej — oni zaraz sobie pój- dą, a my do łóżeczka.

— Nie wypada ich tak zaraz wypraszać.

— Nie wyrzucę ich oczywiście, ale i nie będę ich zatrzymywał.

— Zobaczmy — odpowiedziała całując go w usta. Kamaszowski uściśnął jej rękę, a potem kiedy przeszła do jadalnego, wycią- gnął chusteczkę i starannie wytarł usta po śladach ze szminek.

W pokoju Kamaszowskiego mężczyźni o- toczyli Jolkę, która dobrze już podpita kłęciła się na środku perskiego dywanu wysoko za- dzierając spódnice.

— Ja bym cię zaangażował do baletu — o- świadczył Tolo — tańczysz jak marzenie. Pozwól mi tylko być twoim impresario. Śla- wę masz zapewnioną.

— Takie nogi to majątek — cmoknął Ko- niecznyński — rzeczywiście do baletu albo gdzieś indziej.

— A gdzie — Jolka pszytknęła go w nos. Adwokat powiedział jej do ucha co ma na myśli. Kwasiburska odepchnęła go rozwe- selona.

— Oj, ty świntuchu.

— Nie chcesz tak, to się z tobą ożenię. Jak Boga kocham że jestem gotowy to uczynić.

Jolka dygnęła w podzięk za to oświad- czenie.

— Już miałam kilka takich propozycji.

— Ja jeszcze się nie deklarowałem — za- przączył Koniecznyński. — Czynie to raz pierwszy.

— Nie wierz mu — wtrącił ze śmiechem Jagiński — adwokaci kłamią jak najęci.

— A ja kopnę się za męża tylko za boga- tego.

— Straciłem więc szansę — załamał ręce Jagiński — a myślałem że jak jemu odmó- wisz, to będę mógł mieć nadzieję.

— Ty jesteś biedniutki, kłamczuchu — po- ciągnęła go za nos aż przysiadł.

— Cóż, skromny kierownik komisji i to w dodatku państwowego.

— Nie uważam się za bogacza — przerwał mu Koniecznyński — lecz moglibyśmy poroz- mawiać na ten temat, wesoła rozwódka.

Goladzkim ze szklanką wódki przyłączył się do nich.

— Lecą na ciebie, co? Ile chcą ci dać?
— Szczęście mój panie.

— To taniocza. Proponuję dziesięć kawał- ków za noc. Kto daje więcej. Goladzkim ro- zejrział się dumnie dokoła.

— Dziesięć i jeden złoty — pisał Jagiński.

— Odpada — Goladzkim grzotnął go w plecy. — Na złote się tu nie liczy.

— A na złote dwudziestki? — Konieczny- ski przekrzywił głowę kontent ze swego kon- ceptu.

— Utopiłbym cię w nich, adwokacino.

— Zatem panowie — Koniecznyński pod- niósł rękę do góry — proponuję żeby Jolka rozebrała się i Goladzkim obsypie ją złotymi dwudziestkami jak Jowisz Danae.

— Szasiburska śmiała się hałaśliwie.

— Już ja bym wołała go jako byka niż jako złoty deszcz.

— A więc radzę ci zrobić tak. Najpierw byk a potem złoty deszcz — powiedział Konie- cznyński — potem porozmawiamy o ślubie. Będziesz zamożna. Proszę pana — adwokat zwrócił się do Zyberskiego, który pojawił się przy nim — czy ta pani podoba się pa- nu?

Urzędnik nie wiedział co odpowiedzieć, nie słyszał rozmowy i nie orientował się dla- czego go o to pytają.

Jolka przysunęła się do niego załotnie.

— Nie podobam się panu?

— Owszem — rzekł Zyberski — pani jest bardzo ładna.

— Masz u wszystkich powodzenie. Żebym ja miał takie u moich klientów — zawołał Koniecznyński.

— Postawiłem dziesięć kawałków — po- wiedział Goladzkim — i nikt mnie nie prze- li cytował. Widzisz jak cię kochają. Jesteś mo- ja. Czy chcesz od razu forszę?

Wyciągnęła do niego rękę.

— Pieniądze zawsze biorę jak dają.

— Dalem o złotówkę więcej — Jagiński stanął pomiędzy Jolką a Goladzkim.

— Odczep się — mruknął olbrzym — mogę i ciebie kupić na odczepne.

— O, mnie za taką forszę nie dostaniesz — odrzekł Jagiński.

Goladzkim pokiwał głową z politowaniem.

— Kupię cię z tym twoim państwowym sklepem jak leci.

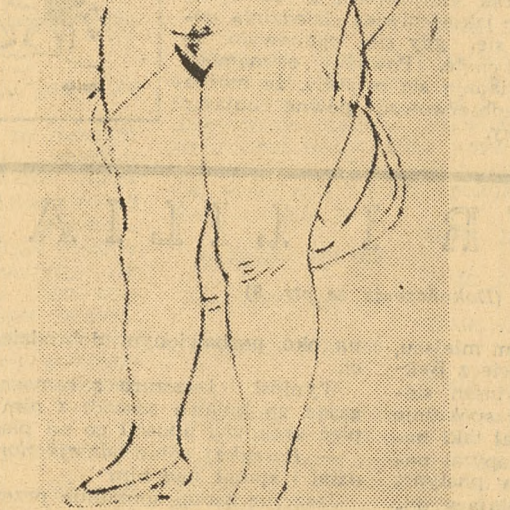
Pomiędzy grupę wpadła Zuza.

— Komu barszczyk?

— Barszcz — skrzywił się Goladzkim — kto pije o tej godzinie barszcz? Chyba że chce- cie mnie stać wypieprzyć?

Zuza zaprzeczyła z przyłimnym uśmiechem.

— Nigdy w życiu. Barszcz sama robiłam. A u mnie są słynne barszcze. Radzę spró- bować.



Według GROSZA

— Nie — odparł nieprzejednany Goladzkim — nie zwracając więcej uwagi na panią domu poszedł za Jolką która tymczasem znikła w jadalnym.

— Może pan? — spytała wobec tego Zy- berskiego, który zdumiony afontem Goladz- kiego nie bardzo wiedział, jak się zachow- ać. Kamaszowska zauważyła skrepowanie Zyberskiego i wręczając mu bezceremonialnie filiżankę z barszczem powiedziała beztrosko.

— On ma już taki styl — i zmieniła te- mat. — Zaraz przyniosę panu pasztecik.

— Dziękuję — skłonił się Zyberski, ale tak niezgrabnie, że wylał nieco barszczu na dywan. To go jeszcze bardziej zdeprymow- ało i chętnie by teraz uciekł z tego domu, by swoim zachowaniem nie drażnić towa- rzystwa, które, jak widział, od dawna znało się i nie sobie nie robiło z zasad, które Zy-

berski zawsze uznawał jako naczelne w swym życiu. Ucieszył się tylko, że pani domu nie przejęła się tłustą plamą, machnęła ręką i oznajmiła, że kuchta i tak nie ma co do roboty, więc wyczyści dywan, a zaitem nie ma powodu do zmartwień.

Doktor Madycki usiadł w fotelu i napełniał fajkę tytoniem. Zyberski zajął miejsce obok niego. Pił powoli gorący barszcz trzymając przed sobą talerzyk z filiżanką.

— To mniej szkodliwe dla zdrowia — po- wiedział, aby jakoś wszcząć rozmowę. — Kie- dyś też paliłem fajkę.

Madycki ubił tytoni wskazującym palcem i zapalił. Pyknął kilka razy puszczać kłęby siwego dymu na pokój.

— Wszystko, proszę pana, szkodzi zdro- wiu. Kto by się tym przejmował. Tylko moim pacjentom nie pozwalam palić, pić i naduży- wać innych doczesnych przyjemności.

— I słuchają pana doktora?

— Frajerzy słuchają.

Zyberski zaśmiał się cicho.

— Pan doktor jest zdania, że wstrzemięź- liwość nie opłaca się w życiu.

— Raz się żyje.

— Ludzie chcą żyć jak najdłużej.

— Dlatego my, proszę pana, zarabiamy.

— I to nieźle! — wtrącił się Zombrzeski, który przez chwilę przysłuchiwał się rozmow- wie. Madycki podniósł na niego wzrok.

— Nie mogę narzekać. Tylko przy tym trze- ba pracować.

Zombrzeski przysiadł na stole.

— Nie lubię tego. Nawet tego słowa nie mogę już słuchać. Praca i praca. Otwierasz radio, słyszysz: praca, książka na ambonie woła: praca uszlachetnia, czytasz książkę: w nagrodę za pracę bohater otrzymuje radio, aby znów słuchać o pracy i tak wkoło Ma- cieju. Brr.

— Stosownie do tej swojej teorii nie wa- lasz sobie rąk pracą.

— Naturalnie, od czegoż mam bogatego bra- ta w Anglii. On zarabia, przysyła paczki, ja zarabiam. Sprzedaję paczki Kaziowi. Kazio zarabia, ludzie kupują, noszą eleganckie ciu- chy, kultura się podnosi i kto oddaje przy- sługę krajowej? Ja! Bez pracy.

— No, pewnie — zgodził się Madycki — każdy czyni tak, żeby mu było wygodnie.

Zombrzeski rad, że jego teoria nie napo- tkała sprzeciwu, postanowił w dalszym ciągu udowodnić wyższość swego stanowiska.

— Dzięki temu, że nie pracuję, nie zajmuję nikomu żadnej posady, nie odbieram nikomu chleba, wydaję wszystko co mam i jeszcze pozwalam innym zarabiac. Jestem społecznie najbardziej wartościowy od urzędników, wysiadu- jących godzinami po biurach.

— Jabył tak nie potrafił — przyznał się Madycki — ja muszę pracować.

— Tobie ludzie sami znoszą miliony. Masz taka małą fabryczkę do robienia pieniędzy. Siedzisz sobie w domu i ludzie biją się mię- dyz sobą o to, aby móc ci wręczyć te dwieście złotych za wizytę.

— Dwieście pięćdziesiąt — poprawił go Madycki — nie rób mi złej reklamy.

— Obliczają cię na sto kawałków miesię- cznie.

Doktor wykonał gest wskazujący na to, że n'c sobie nie robi z tego, co się o nim mówi.

— Bardzo panów przepraszam — rzekł Zy- berski i odszedł do jadalnego.

— Kto to jest? — spytał Madycki, pykając głośno z fajki.

— Ażebym to ja wiedział. Jakiś znajomy Kamaszowski.

— Jeśli go nie znasz bliżej, to po co opo- wiadasz o zarobkach. Wiesz że są ludzie, któ- rym przydają się takie informacje.

— A niech sobie donosi — machnął ręką Tolo — byłem dwa razy na Ube, mogę iść i trzeci raz. Nie kradnę.

Madycki przywołał ruchem ręki przecho- dzącego Kamaszowskiego.

— Widzę, że się nie bawisz — zaniepokoił się Kamaszowski — może chcecie zatańczyć. Puszcza radio.

— Słuchaj — Madycki chwycił za guzik od marynarki Kamaszowskiego — kto jest ten łysawy facet?

Kamaszowski poszedł za wzrokiem dokto- ra. Dostrzegł Zyberskiego rozmawiającego z Koniecznyńskim.

— Jasio Zyberski. Stary znajomek, — na- chylił się i dokończył ciszej — pracuje w Miejskiej Radzie Narodowej. Wiesz, jak jest coś do załatwienia, to on załatwia bez kolejki. Porządny chłop. Zna mnie od dziecka. Żył w przelazni z moim starym.

— A nie pracuje w Ube? — rzucił Zom- brzeski.

— W moim domu Ube? — oburzył się Ka- maszowski. — Czyż z byka spadł.

— W najlepszych rodzinach to się zdarza.

— Bądź spokojny. Piotruś, nie siedź taki smutny...

Madycki pokręcił głową ziewając.

— Zagrałbym w co.

Kamaszowski spojrzał na zegarek.

— Przyjdzie Władek do zagramy. Czemu on się tak spóźnia?

— Będzie Władek?

— Przyszł, że wpadnie.

— Mogłaby być niezła partyjka.

Zombrzeski zsunął się ze stołu i siadł przy Madyckim.

— Jabył też zagrał. Ostatnio jestem prze- grany. Nie idzie mi karta. Wczoraj przetr- znąłem dwanaście kawałków.

— Wiesz za co ojciec bije syna? — zaśmiał się Kamaszowski.

— Mnie to nie grozi. Nie mam ojca. O, Jolka! — zawołał Tolo i skoczył jak pasikonik w stronę młodej rozwódki.

(Ciąg dalszy nastąpi)